Rok I. Lwów, 1. Października 1899. Nr. 9.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata wynosi:
rocznie złr. 1.60, z przesyłką 1.84 — kwartalnie 40 ct., z przesyłką 46 ct. — Numer pojedynczy 15 ct. na prowincyi 16 ct.

Adres Redakcyi: Lwów, ulica Zygmuntowska l. 12A. Filia administracyi w Krakowie przy ulicy św. Anny 3.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". — Krasiński.

Walka z oświatą.

Co roku, kiedy rozpoczynają się nauki w szkołach średnich, znaczna część młodzieży, chcącej zapisać się do gimnazyum lub szkoły realnej — spotyka drzwi tych zakładów dla siebie zamknięte. Powody, które zmuszają rzekomo władze szkolne do odmawiania tej młodzieży możności korzystania z nauki, mieszczą się zazwyczaj w takich argumentach jak: brak miejsca, niespełnienie formalności — późne zgłoszenie się, lub: brak odpowiednich zdolności — „nierozwinięty fizycznie".

Jeżeli się zważy, że pod względem oświaty Galicya w liczbie krajów, wchodzących w skład „monarchii" wyprzedza tylko Chorwacyę z Slawonią i Dalmacyę, a na $7^1/_2$ miliona ludności wogóle, dwie trzecie (według „historyi i statystyki monarchii austryacko-węgierskiej" Finkla i Głąbińskiego, przeznaczonej do użytku szkół średnich) t, j. 5 milionów należy do analfabetów. jeżeli zważy się dalej, jak olbrzymie korzyści przynosi w skutkach szybki rozwój oświaty dla każdego kraju — to tamowanie jej dla takich przyczyn nazwać trzeba zbrodnią.

W prawdzie szkoły galicyjskie nie mogą wywołać zachwytu i życzyć by sobie należało, aby wiedza dostawała się do umysłów młodzieży z pominięciem tego szkodliwego filtru, ale jeżeli kraj znajduje się w takiem położeniu, że innego lepszego źródła oświaty dać nie może, jeżeli społeczeństwo nie jest zdolne wziąć we własne ręce sprawy wychowania młodych pokoleń, to wolno przynajmniej żądać, by z istniejących złych warunków, możliwie najwięcej wyciągnąć korzyści.

Społeczeństwa prawdziwie cywilizowane tak ważnego zadania, jakiem jest wychowanie publiczne nie pozostawiają odłogiem, ale gdy widzą, że ono znajduje się w niepowołanych rękach, sami stają się inicyatorem, tworząc prywatne zakłady naukowe, prywatne szkoły i gimnazya.

W Galicyi przeciwnie. Rząd zaborczy nie pragnie wzrostu oświaty, nie daje funduszów na zakładanie szkół, odmawia pieniędzy dla odpowiedniego wynagrodzenia nauczycieli — w kraju znajdują się ludzie, którzy z gotowością popierając te zamiary, prześcigają się w spełnianiu rozporządzeń rządowych i jeszcze ze swej strony robią, co mogą, aby utrudnić kształcenie się młodzieży.

Że postępowanie takie obu tych czynników: rządu — rządzącej krajem kasty nie jest wynikiem chwilowej kombinacyi warunków, wymagającej n. p. zmniejszenia wydatków w danym razie lub t. p. ale jest systematycznem, tendencyjnem dążeniem do zagrodzenia przystępu do szkoły, szerszym warstwom, łatwo wykazać.

Wielu z nas jeszcze pamięta owe czasy, kiedy n. p. czesne w gimnazyum wynosiło 10 złr. na prowincyi, a w większych miastach (Lwów. Kraków) 15 złr. Później sumę tę uznano widocznie za nadto przystępną i zwiększono do 15 i 20 złr. a zapewne nie długo trzeba będzie czekać, kiedy i ta cyfra okaże się niedostatecznym hamulcem oświaty... Płacą wprawdzie ci tylko, którzy nie robią dostatecznych postępów w nauce — ale kto zna bliżej życie szkolne, wie doskonale, że tzw. „dydactrum" nietylko jest zależne od stopnia nauki, ale także od pilności i zachowania. Zniżenie cenzury z obyczajów lub pilności ucznia o 1 stopień z jakiegokolwiek powodu, pociąga za sobą utratę uwolnienia od czesnego. Wystarcza więc niezadowolić wymagań jednego tylko profesora, lub dopuścić się w ciągu kursu jednego przekroczenia, aby być narażonym na opłatę tak ciężkiego podatku. A wiadomo wszystkim, którzy przechodzili szkołę galicyjską, że dwie trzecie płacących czesne uczniów, płaci je z powodu „zepsucia" pilności lub obyczajów.

Dalszym, rażącym dowodem tego, jak starają się wszelkiemi sposobami uniemożliwić korzystanie ze szkoły większej liczbie młodzieży, jest ów bezmyślny system wydawania podręczników szkolnych. Każdy rok przynosi jakąś „nową", „przejrzaną" gramatykę, jakieś „skrócone" i „obrobione" wypisy. Wystarcza nieraz zmiana jednego lub dwu zdań w tłumaczeniach łacińskich, albo odmienny etymologiczny rodowód jednego czasownika greckiego w gramatyce — aby bez wahania wyrzucić dotychczasową książkę, a wprowadzić nowe, „ulepszone" wydanie. Łatwo pojąć, na jakie wydatki narażona jest przez to niezamożną część młodzieży. Albowiem profesorowie — dla których „reskrypt ministeryalny" lub „instrukcya Rady szkolnej" jest ewangelią, za którą daliby się porąbać, przestrzegają ściśle, aby uczniowie używali „ostatniego" wydania, a kto się do tego nie stosuje, otrzymuje złą notę, gdyż posługiwanie się książką „nieprzepisaną" równa się przyjściu do szkoły bez książki. Całe stosy tych „wydań" zalegają półki księgarni. I oto skutki takiej każdorocznej inowacyi. Niejeden chłopak, który kupił książkę, przeznaczoną na kilka lat nauki musi z uszczerbkiem może codziennych potrzeb życia kupować nową, albo tracić drogi czas pożyczając od kolegów. Ale cóż to obchodzi szanownych pedagogów; bardzo często, gdy się taki uczeń usprawiedliwia, słyszy odpowiedź z „ojcowskich ust" profesora: albo przynieś książkę, albo nie chodź do szkoły!"

A tymczasem z c. k. Rady szkolnej, z owego sanchedrynu „rozumu" i „doświadczenia" wychodzą jeden po drugim „tajne ukazy i okólniki", nakazujące obostrzenie przepisów i ograniczenie zbytniego napływu młodzieży do szkół.

A ta systematyczna, ohydna walka z oświatą w kraju, to występne przeciwdziałanie wszystkiemu, co niesie światło w szersze warstwy społeczeństwa, objawia się znów w wywieraniu nacisku na dyrekcye i ogół nauczycieli i w karygodnem postępowaniu tych ostatnich w zakresie własnej działalności. Przy wpisach każdy dyrektor ma sobie za pierwszy obowiązek wpuścić jak najmniejszą liczbę młodzieży do swego zakładu; takie bowiem jest tajne rozporządzenie c. k. Rady szkolnej. Używa więc wszelkich środków, zastosowuje wszystkie „arcana" swego biurokratyzmu, aby żądaniom „z góry" zadość uczynić.

Chłopak z innego gimnazyum, lub świeżo wstępujący trzeciego dnia wpisów nigdzie przyjętym nie będzie. Znam fakt, że pewien uczeń trzeciego dnia wpisów obszedł wszystkie istniejące zakłady średnie we Lwowie i nigdzie nie został przyjęty z powodu „przepełnienia". Żąda się najrozmaitszych „papierów" jakoto: metryk, świadectw odejścia, poświadczeń lekarskich, moralności i Bóg wie czego — jak gdyby świadectwo szkolne lub ocena wiadomości okazanych przy egzaminie nie były rozstrzygającym czynnikiem.

Oczywiście, że w ten sposób zraża się i odstręcza od szkoły ludzi pracy, którzy nie mogą czasu swego poświęcać na to, by kilka dni z rzędu przesiadywać w szkole dla paru biurokratycznych formułek.

Ostatnim kamieniem, rzuconym na drogę rozwoju oświaty w Galicyi był mundur szkolny. Zaprowadzono go z początkiem roku szkolnego 1896/97, a miał na celu, jak to głosili jego propagatorowie, uszlachetnić i podnieść wśród młodzieży godność osobistą, miał zatrzeć różnice „pochodzenia" i warunków materyalnych, dodać szacunku i aureoli (?) zawodowi (?!) ucznia jako takiemu. Nakoniec mundur miał stanąć na straży mo-

ralności młodzieży. Tak mówiono. W rzeczywistości jednak odegrały tu rolę względy i n n e. Jasnem jest jak na dłoni, że zaszyto kilkanaście tysięcy młodych ludzi w mundur dlatego, aby ich zawczasu sposobić do munduru żołnierskiego, aby w nich tem łatwiej wpajać uległość i ślepe posłuszeństwo już od najmłodszych lat — krótko, aby młodzież zserwilizować.

Śmieszną tylko była naiwność członków owego „aeropagu“ pedagogii galicyjskiej, gdy chcąc osłonić cel właściwy, mówili o „zatarciu różnic pochodzenia“. Widzimy dzisiaj, jak wygląda to zatarcie! całe gromady próżnujących paniczyków włóczą się po pryncypalnych ulicach miasta w białych rękawiczkach, małpując swoich „starszych“ kolegów w armii. Zniszczony i biedny mundurek syna chłopskiego odbija jaskrawo od złotych „pasów“ i pąsowego podszycia mundurów „narybku“ złotej młodzieży“.

A już i mówić nie potrzeba, że zadanie munduru, jako środka umoralniającego ucznia — chybiło zupełnie celu. Przeciwnie tutaj stał on się wprost demoralizatorem, zaszczepiając hipokryzyę i chęć do oszustwa w młode serca.

Mundur spełnił tylko to, o co przedewszystkiem zwolennikom jego chodziło: s t a ł s i ę j e d n y m w i ę c e j ś r o d k i e m, u t r u d n i a j ą c y m k o r z y s t a n i e z n a u k i m ł o d z i e ż y, p o c h o d z ą c e j z n i ż s z y c h w a r s t w n a r o d u. Nie ulega bowiem wątpliwości, że sprawienie tego rodzaju odzieży naraża niezamożną rodzinę na daleko większe wydatki — aniżeli przedtem. Dawniej, gdy chłopak biedny szedł do gimnazyum czy szkoły realnej, znalazła się w rodzinie odzież z ojca lub starszego brata, lub można było podobną nabyć za niską cenę. Piszący te słowa, uczęszczając w niższych klasach do jednego z prowincyonalnych gimnazyów, miał kolegów ze wsi, przychodzących do szkoły w wiejskiej odzieży. Dzisiaj może biedny uczeń i chleba w ustach nie mieć — ale mundur mieć musi.

Widać z tego wszystkiego, że w Galicyi istnieje wytrwałe dążenie do tego, by rozwój oświaty, ściśle z wzrostem ludności w kraju złączony, naturalny popęd do niej warstw niższych, ograniczyć i zgnębić. A o ile zrozumiałem może być takie postępowanie ze strony rządu, który ostatecznie wcale się nie kryje ze swemi zamiarami — (minister Gautsch w prywatnej rozmowie, kiedy mu zwracano uwagę. że częsta zmiana podręczników utrudnia przystęp do szkół biednym uczniom — odpowiedział: „G y m n a s i u m i s t n i c h t f ü r d i e A r m e n,“) o tyle wstręt wywoła w sercu każdego uczciwego Polaka wierny sojusz w tej pracy „wzorów galicyjskiego patryotyzmu“ — członków galicyjskiej Rady szkolnej krajowej.

To też śmiech tylko wzbudzają słowa, które czytamy w podręczniku dla szkół średnich: (Histor. i statyst. mon. austr. węg.) „Statystyka oświaty w kraju jest m i a r ą moralnego i materyalnego postępu społeczeństwa. Oświata bowiem jest w życiu społecznem nie tylko potrzebą duchową człowieka, ale zarazem najdzielniejszym środkiem do zdobycia materyalnego dobrobytu“ — lub „im więcej jest w k r a j u s z k ó ł i innych środków krzewienia wiedzy, im lepiej są zakłady naukowe uposażone, im bardziej są one przystępne dla ogółu obywateli, tem łatwiej i wyżej podnosi się oświata narodu“. Tak się pisze, a w rzeczywistości?

Mylicie się panowie Tarnowscy, Bobrzyńscy i inni — jeśli sądzicie, że w ten sposób utrwali się mur, dzielący społeczeństwo na „inteligencyę“ i „tłum“, Świadomość „motłochu“ wydaje się wam zanadto niebezpiecznym eksperymentem. I słusznie, bo z chwilą, kiedy Polska będzie miała inteligentnego robotnika i świadomego chłopa, wasza gospodarka się skończy. Do was to mówi Maciek Mickiewicza: „Głupi, głupi, głupi!...“ Lud polski w ciężkiej walce o swoje prawa, o światło i wiedzę, które mu się prędzej należą, niż niejednemu z was — nie ustanie, ale prędzej, czy później, z wami, czy bez was zdobyć je musi. A walka z oświatą w kraju, walka z jej dobroczynnym, umoralniającym wpływem na ludność, to nierozsądna, bezmyślna walka z potężnym, żywiołowym prądem, który wrastać będzie nieustannie, a tych, którzy mu opór stawiają — gwałtem usunie. *S. O.*

Rozstrzygnięcie konkursu.

W numerze z dnia 1. maja b. r. ogłosiliśmy konkurs na utwór poetyki ku czci Słowackiego w 50-tą rocznicę zgonu poety.

W odpowiedzi otrzymaliśmy 12 utworów, z których atoli tylko 3 zakwalifikowane zostały przez sąd konkursowy do wspólnego czytania, a mianowicie: 1) „U mogiły Juliusza“, godło: „Daśli“, 3) „Juliuszowi Słowackiemu“, godło „Aryel“ i 3) „Poeta w obczyźnie“, godło „Ale mu harfy nie wydarto złotej“.

Wynik ostateczny konkursu jest następujący: nagrodę przyznano autorowi wiersza: „U mogiły Juliusza“, jakkolwiek i drugi z wyszczególnionych utworów zasługuje na zaszczytne wyróżnienie; trzeci p. t. „Poeta w obczyźnie“ może być tylko polecony do wydrukowania. Wiersz „U mogiły Juliusza“ zawiera lepsze niż utwór z godłem „Aryel“ odbicie charakteru twórczości Słowackiego i w bardziej oryginalnym a ujmującym pomyśle wyraża więcej polotu poetyckiego, tak że całość po przeczytaniu odrazu wraża się w pamięć czytelnika. Utwór zaś p. t.:

„Juliuszowi Słowackiemu“ zasługuje na wyróżnienie dla wykończonej formy, jędrności i siły i niepospolitego stylu poetyckiego.

Inne utwory:

„Fantazya“	godło	„Segam“
„Cieniom Juliusza“	„	„Ilderim“
„Juliusz Słowacki“	„	„Tensam“
„W pięćdziesiątą rocznicę zgonu J. Słowackiego“	„	„I. D. A.“
„Do wieszcza“	„	„Doktor“
„Cieniom J. Słowackiego“	„	„Zalescianus“
„Wspomnienie“	„	„Gi. W.“
„Trzeci Kwietnia“	„	„Nirwana“
Bez tytułu	„	„Nehawend“.

pozostają w Redakcyi „Promienia“ do dyspozycyi autorów.

U mogiły Juliusza.

Klęczałem długo na cmentarnej ziemi
Z czołem przylgniętem do grobowej płyty,
Z ciałem stężałem, z płomieniami w oku,
I prądy myśli w szalonym natłoku,
Duszę wstrząsając falami wartkiemi,
Tak mną władnęły pośród mroków nocy,
Jak władną niebem płynące przedświty...
I noc, ta dobra, litosna królowa,
Świat okrywała w płaszcza ciemne zwoje,
I cichej pieśni kołyszące słowa
Z tchnieniami pociech i kojących mocy
W przestrzeń tryskały, jako czyste zdroje...
Wśród owej nocy pełnej mar i czarów
U tej proroczej klęczałem mogiły,
W której butwiała garść królewskich prochów.
Mój duch omdlewał od mistycznych żarów...
Serce tężało od potężnych szlochów
Pod wpływem cierpień, co w nie szpony [wpiły.

I jako symbol rozśpiewanej liry,
Przybrany w drżące, szczerozłote struny
Oczekiwało bożego pieśniarza,
Z mrocznej mogiły i przetlałej truny, —
A gdy się zjawił, pieśń, co życie stwarza,
W przestwór buchnęła, w rozszalałe wiry...
Pierwsza z strun liry dzwoniła tęsknotę
Tych, co w świat poszli, gdy kraj upadł [w boju,
Drogę swą znacząc krwawiącemi stopy,
Z skargą, co biła aż o nieba stropy,
Z ciałem zbarczonem od ciężkiege znoju,
Przeklinających snów marzenia złote,
Które wpajały w serca ich nadzieję,
Że czas... że dola dla nich świetlna dnieje.

Z drugiej w świat biegły marzenia młodzieńcze,
Pełne otuchy w godzinę wyzwoleń,
Pełne zapału, mimo że je srodze
Los obwarował w kajdanów obręcze,
Pełne ofiary na odkupień drodze
I wiary w przyszłość najbliższych pokoleń.
Trzecia dźwięczała ukochaniem ludu
Przez tych, co „niosą oświaty kaganiec“
I tych, co tworzą te kamienie twarde
Rękami Boga ciśnięte na szaniec,
Co są stwierdzeniem widomego cudu,
Mając dla wroga zawsze czoła harde.

Inna jęk gnała na Sybiru śniegi
W lochy kopalni, w karłowate lasy
Pod niebo szare, mgłami przewleczone,
Nad rzeki smętne, co łzami po brzegi
Wezbrane płyną, nie w ojczystą stronę,
I są jak klątwa, aż po wieczne czasy...
A jeszcze inna, z nad Aaru fali,
W tęczy i słońca błyszcząca przezroczu,
Jak gwiazdka mała, co się w niebie pali,
Jako boginka, wiejąca nad wodą,
Lub na urwistem jawiąca się zboczu,
Świat czarowała miłością, urodą...

I te rozpaczne, targające w męce
Trzewa swej matki, i te smutku pełne,
Które przeczuły wygnańcza mogiłę,
I te znające swą fatalną siłę,
Która urobi jako wieszcze ręce
Zjadaczy chleba na aniołów tłumy,

I te co przędą drogą, bożą wełnę
Cierpień i tęsknic, jako ciche szumy.
— Wszystkie płynęły z tej cmentarnej głuszy,
Z tej zapatrzonej w bezkresy mogiły,
W dal ponad miasto, na ojczyste pola...
Nad łąki — lasy — wstęgami się wiły,
Chcąc upaść rosą w chwile spiekłej suszy
Tam, skąd je w życiu zła wygnała dola.

Świt — świt już błyska i echo tych pieśni
Z powrotną falą do mogiły wraca
Pełne łkań, bólu, łzawiąc moje oczy
I skarga wielka świat mych marzeń mroczy,
W niepewność wtrąca...
Paryż, 23 czerwca 1899. *Daniel Śliwicki.*

Juliuszowi Słowackiemu.

Możny być musisz, gdy za twoją sprawą
Tyle w ojczyźnie duchów się bogaci!
Możny — uczucia płomienistą lawą
Co niekrzepnące w serca się współbraci
Potokiem leje — i jak potok głazy
Duchy nam wstrząsa! O możny, zaiste,
Ty, coś był źródłem pod palmą oazy
A płonął pieśnią jak to krze ogniste,
Że aż się glina przepaliła krucha,
Ty, coś był cały z miłości i ducha!
Żyli na on czas w kraju wajdeloci,
Zbrojni w prorocze jasnowidztwa moce,
Ich pieśń — jak ziarno pszeniczne na glebie
Zieloną runią zeszła na opoce
I dziś — już łanem owocnym się złoci —
Lecz żaden — nie czuł goręcej od Ciebie!
Żaden podchmurną wysokością lotów
Ani natchnieniem niebył z nich bogatszy —
Tyś jak i oni w pieśń swą przelać gotów
Całe swe serce! Jak orzeł, co patrzy
W żarzący słońce klejnot — takeś stawał
W Prawdę wpatrzony nie mrużąc powieki
I pieśń za pieśnią tyś nam snuł a dawał,
Tęczową blaskiem, przeczystą jak dyament,
W cel zapatrzoną jasny — choć daleki,
Twój nam w spuściźnie niosącą Testament...
A więc ta ziemia krwią i łzami płynna
Na równi z nimi — kochać się — powinna!
Zawrat.

Poeta w obczyźnie.

Juliuszowi Słowackiemu w pięćdziesiątą rocznicę śmierci poświęcono.

Łagodnym szmerem drzew ukołysana
ucichła mi
głęboka serca rana —
nie budźcie jej — niech śpi!
Nie śpi ten straszny gad,
ta żałość, ta tęsknota,
co trują krew jak jad
i gryzą rdzeń żywota!
Tu jestem z sobą sam — tu niema ludzi złych,
tu duch spokojnie się oplata
pajęczą siecią myśli swych,
bez przeszkód krążę
po górnych sferach świata
i u Wiecznego stóp splątaną przędzę wiążę.
Ucicha zwolna ptasząt głos,
już listki do snu tulą kwiaty,
srebrzystą rosą już się perli wrzos,
i nawpół senne we mgłach toną światy.
Lecz skąd ten cichy tajemniczy szum?
Nie targaj wietrze czułych strun w powiewie,
przebrzmiałych nie budź dum!
Jam lutnię mą zawiesił już na drzewie,
niech żaden z ludzi o mych smutkach nie wie,
nie targaj czułych strun!...
W powodzi łun,
Za gór zachodnich szczyty się iskrzące
tam kryje słońce zachodzące
promieni swych ognisty snop.
I blednie, blednie, blednie nieba strop;
w rzęsistych rosa spada łzach,
wieczoru mroczna, chłodna szata
na skrzydłach wiatru tak powiewna lata
i kręgiem ziemski przyobleka gmach.
Ostatni promyk słońce z za gór ciska,
i skrzy się, pali i tęczami błyska;
a już ze szarych mgieł na nieba toń bezdenną
wynurza księżyc tarcz wybladłą
i, patrząc w zorzę jasną, ze zenitu spadłą,
szyderczo mu urąga w twarz promienną...
Zagaśnij, zorzo! nie budź iskry tej boleści,
co wiecznie tli,
gdzie się najgłębiej jądro życia mieści
niech śpi!
O nocy, niech osłoni
cienista twa zasłona
ten straszny obraz, jak tam kona — słońce!!
Burzliwych myśli uśmierzonej toni
wspomnienia niech nic mąci wir!
niech duszy mej ponury
nie mroczy kir
żałobny, jak te czarne chmury,
co z żalem patrzą, niby zapłakane,
na żegnające
tam blaski jasne — oh, świetlane!
Bo jak to słońce — me marzenia lśniły,
lecz za nim zeszły, poszły do mogiły!

W zaraniu lat
jam wdział jasną sławy mej pochodnię:
w daleki świat
promienne blaski brali z niej przechodnie,
w serca je kryli i przy ich promieniu
szli przez dolinę pogrążoną w cieniu.
O, ja marzyłem marzeniem Hioba,
nim hiobowa dotknęła mnie próba; —
ale nadeszła, i żałosnem okiem
patrzałem, jako zorza moich dni
za mglistym szarym kryła się obłokiem,
jak tam — to słońce, co konając, lśni.
Zelżony —
odkąd w obce strony
burzliwa mię porwała fala
jam łkał —
jak dziecko łkał w katuszy!
Od kraju, matki, od kochanki z dala,
nie mając przed kim wylać cierpień duszy,
jam na obczyźnie jak w mogile stał,
gdy czas letargiem uśpionego ruszy:
zbudzi się trup,
za wieko targa,
kołace w grób,
we krwi się szarga —
lecz ach! kołace w grób! —
Ucichło wszystko, i już noc się ścieli,
gdzieniegdzie gwiazdka promieniem wystrzeli,
to w chmurach w mgliste pogrąży się tonie,
Ucichło wszystko... dla mnie nie ma ciszy,
burza rozpaczy wichrzy w mojem łonie,
bo tam gdzie inny szelest wiatru słyszy,
ja słyszę gromy, które jeszcze drzemią
w chmurach, brzemiennie rozpiętych nad [ziemią;
Choćby grożące błyskawice zgasły,
powstają owe, co już dawno trzasły,
i, z równie strasznym budząc się łoskotem,
serce powtórnym przeszywają grotem...
Naturo! ty, co litość znasz w tym świecie jedyna;
ty która skrycie
w istotę każdą siły tchniesz i życie;
ty, co przed żalem i tęsknotą
jak matka dziecię
chroniłaś mię pieszczotą;
ty, co jak rajska snów kraina
tęsknemu oku
promienne szczęściem rozprzestrzeniasz niwy,
pełne uroku:
O, ty uspokój duszę, twego syna,
tę smutną duszę, w której jęk straszliwy
rozdziera serca w ćwierci
i kwiat kwitnący truje trupiem tchnieniem [śmierci!...
Nie, niech me czoło nie schyli się dumne,
pokorą głaskać serca skazitelne!
nie będę nawet błagał, by mą trumnę
pod posągową złożono kolumnę,
tam, gdzie narodu króle nieśmiertelne,
gdzie na wawrzynach śpią hetmany dzielne,
smutne pamiątki zgnębionej wolności!
Niech spocznie zdala łódź żywota krucha;
z krwi moich ziomków spłodzone robaki
nie będą żyły w próchnie moich kości!
Lecz mi mogiła nie zagrzebie ducha:
Me pieśni będą jak wędrowne ptaki
krążyć nad nimi niebieskimi szlaki
i świecić będą jak tęcze i słońca
i smutne dźwięki dzwonić im do ucha
i łkać i jęczeć i szlochać bez końca,
aż się w nich iskra współczucia rozdmucha!
I wstanie naród i pieśni wysłucha
i pojmie swego tajemnicę losu
i pójdzie uczcić monarchę harfiarzy,
co pieśnią gromy kładł w Wenedów dłonie,
a kiedy harfa odmówiła głosu,
runął u zgasłych ojczyzny ołtarzy,
bo życie jego tętniło w strun tonie!
O nie, nie przebrzmią me gorące słowa!
Na stepach co się mogiłami roją,
Nie będzie trwała ta cisza grobowa,
której się żywi więcej śmierci boją!
A ci co chcieli ludowi obroże
wcisnąć na ducha, jak niegdyś na grzbiety,
o, ci niech zadrżą, gdy z natchnień poety,
Wykwitną jasne, promieniste zorze!...

M. H. S.

Ukraińska literatura.

Według dra Iwana Franki i dra Ołeksandra Kołessy

napisał M. Ł.

Przedmowa.

Chcąc podać czytelnikom „Promienia" krótki zarys ukraińskiej literatury, uważam za rzecz najodpowiedniejszą zebrać i przetłumaczyć z ukraińskiego języka na polski najważniejsze ustępy z pracy dra Iwana Franki pt. „ukraińsko-ruska literatura", wydrukowanej w pierwszym i drugim zeszycie „Slovańsk-iego Prehled-u" za rok 1897 i z pracy dra Ołeksandra Kołessy p. t. „Stulecie odro-

dzonej literatury ukraińsko-ruskiej", wydrukowanej w ukraińskim miesięczniku „Literaturno-Naukowyj Wistnyk" (T. IV. str. 161—187. Część naukowa), wychodzącym we Lwowie. Rozumie się, że złączenie tych ustępów w organiczną całość i dodanie tego, czego w nich niema, a co według mnie jest niezbędnem, należeć będzie do mnie. Oczywiście, że taka praca nie jest niczem innem, jak tylko kompilacyą, lecz ja się tego nie wstydzę, gdyż nie chodzi mi zupełnie o to, by zyskać imię literata, lecz tylko o to, by czytelników „Promienia" zapoznać z ukraińską literaturą.

Na zakończenie kilka słów co do nazwy „ukraiński". Jak wiadomo, plemię ruskie dawno rozpadło się już na dwie narodowości: wielkoruską czyli moskiewską i małoruską, którą nazywają też ukraińską. Nazwa „ruski" jest dla mieszkańców Ukrainy, wschodniej Galicyi, części Bukowiny i Węgier nieodpowiednią, gdyż i Moskale nazywają siebie „russkimi"; nazwa „rusiński" i „małoruski" jest mało używaną; najwięcej jeszcze używaną jest nazwa „ukraińsko ruski", ja zaś używać będę wszędzie nazwy: Ukraincy, ukraiński, Ukraina rosyjska, galicyjska, bukowińska, gdyż nazwy te są najwięcej zrozumiałe i prawdopodobnie najracyonalniejsze.

I. Ukraińska literatura

od najdawniejszych czasów aż do 1798 r.

Literatura ukraińska ma dotychczas, między swymi i obcymi, tudzież między najbliższymi sąsiadami, zawziętych i silnych przeciwników, którzy, wychodząc po części z zapatrywań państwowych, po części z ciasno narodowościowych, a po części z wyznaniowych, albo wyrokują z góry, że niema żadnej ukraińskiej literatury, istnieje zaś tylko zastęp fantastów-literatów, albo chociaż przyznają, że ona istnieje, to widzą w niej jakiś stan czasowy, patologiczny, przeciw któremu trzeba reagować wszelkimi sposobami i który musi z czasem przejść, albo w końcu w najlepszym razie nie przyznają literaturze ukraińskiej pewnej przyszłości i przepowiadają, że kiedy się rozszerzy świadomość i oświata w szerokich masach ukraińskiego narodu, istnienie specyalnej literatury ukraińskiej będzie niepotrzebnem, a ukraiński prąd duchowy zleje się z wszechruskim (moskiewskim), wypełni wielką i silną harmonię narodowości wszechruskiej (moskiewskiej). Z tem ostatniem zapatrywaniem trudno wdawać się w polemikę, nie będąc prorokiem; tak samo nie można, a nawet nie warto prowadzić polemiki z tymi, którzy, zamykając oczy, na żywe fakty, ukazami i dekretami dyktują, że tych faktów zupełnie niema na świecie. Przyjdzie czas, kiedy i oni zmuszeni będą otworzyć oczy, a z niektórych danych można wnosić, że czas ten już niedaleki. Za to aż się proszą do roztrząsania twierdzenia tych przeciwników. ukraińskiej literatury, którzy widzą w niej jakąś „intrygę" — jedni polską, drudzy moskiewską — jakieś zboczenie z prostej, naturalnej drogi rozwoju, jakieś sprzeniewierzenie się tysiącletniej tradycyi rozwoju plemienia ruskiego. Ile w tych zarzutach prawdy? Ile prawdy w tem, że nowa literatura ukraińska to wytwór sztuczny, zaprzeczenie jakiejś jedności, która miała istnieć jeszcze przed 1798 r., że ona to niejako łoże Prokrustowe, na którem wielka, tysiącletnia cywilizacya wszechruska ma być obciętą aż po czasy Kotlarewskiego. Zdaje się, że spokojny, naukowy pogląd na przeszłość Rusi południowej (t. j. dzisiejszej Ukrainy i Galicyi wschodniej) da na te pytania najlepszą odpowiedź.

Jak wiadomo, już w samych początkach politycznego życia dawnej Rusi, w czasach, gdy u szeroko rozrzuconych plemion budzić się tylko poczynają pierwsze błyski jedności i solidarności, widzimy już dwa główne centra tej solidarności: na północy Nowhorod i Kijów na południu. Od czasów księcia Olega Kijów zdobywa sobie przewagę, dostaje imię „macierzy miast ruskich", lecz Nowhorod mimoto przez długie jeszcze lata aż do czasów Włodzimierza Wielkiego i Jarosława Mądrego, odgrywa obok Kijowa ważną rolę w życiu politycznem Rusi. Czy tak samo ważnym jest on w życiu duchowem i literackiem? Na pewne tego nie wiemy, chociaż niektóre świadectwa późniejsze każą nam się tego domyślać. W każdym razie pierwsze podstawy piśmiennictwa ruskiego, utwory mające stanowczy wpływ na dalszy rozwój tegoż, powstały na południu, w Kijowie lub w okolicy. Tutaj pisane były znakomite kazania Ilaryona, tutaj powstały pierwsze życiorysy ruskich świętych, tu się zło-

żyła, jednocząc w sobie różne tradycye plemienne i pamiątki pisane, pierwsza kronika ruska, utwór niezwykły dla tego czasu z powodu trzeźwości w orzekaniu i szerokości poglądu historyczno-politycznego. Możnaby się kłócić o to, czy te utwory zaliczyć należy do poprzedników literatury ukraińskiej, czy moskiewskiej; można się też na to zgodzić że są one oparte na języku staroruskim, (wspólnym dla przodków teraźniejszych Ukraińców i Moskali) i z jednakowem prawem należą do jednej i drugiej literatury.

Lecz już w XII. lub XIII. wieku mamy pamiętnik, który aczkolwiek zachowany w odpisie północno-ruskim (moskiewskim) i to dosyć późnym, żadną miarą nie może być zaliczonym do literatury moskiewskiej, lecz językiem i cechami wewnętrznemi stanowczo należy do literatury ukraińskiej. Pamiętnik ten, t. j. znakomity poemat p. t. „Słowo o połku Ihorewi“ (Pieśń o pułku Igora) — jest równocześnie jedynym utworem poetycznym, na wskróś świeckim i niecerkiewnym, jaki doszedł do nas z dawnej Rusi. Najciekawszą zaś rzeczą jest to, że pamiętnik ten świadczy o istnieniu wielkiej liczby takich samych pamiętników, o istnieniu całej rodzinnej poezyi rycerskiej, ułożonej tym językiem, jakim mówiło owo rycerstwo staroruskie. Poezya ta stracona dla nas oprócz tych śladów, jakie pozostawiła w kronikach i innych utworach staroruskich; o istnieniu i rozwoju także po powstaniu „Pieśni o pułku Igora“ świadczy pełna kolorytu i dramatyzmu kronika Wołyńska, natchniona poezyą rycerską, której to kronice niektórzy krytycy przyznają nie tylko wartość historyczną, lecz także literacką i to nie wiele mniejsza od tej, jaką ma „Pieśń o pułku Igora“. Tutaj znów zauważyć należy, że chociaż kronika Wołyńska przechowała się także w kopii północnoruskiej, to mimo tego żadnemu historykowi literatury staroruskiej nie przyjdzie na myśl zaliczyć ją do zabytków literatury moskiewskiej. Przeciwnie, w tym czasie t. j. w XIII i XIV stuleciu widać wyraźnie w literaturze staroruskiej dwa prądy: południowy i północny, będące poprzednikami piśmiennictwa z jednej strony ukraińskiego, z drugiej zaś moskiewskiego.

Różnicę tę bardzo ostro podkreśla nowszy historyk moskiewski, M. Sołowjow, któremu nikt pewnie nie zarzuci przychylności do separatyzmu[1]). Charakteryzując staroruskie kroniki północne (Nowhorodzką i Suzdalską) i południowe (Kijowską i Wołyńską), pisze on: „Kronika Nowhorodzka odznacza się opowiadaniem krótkiem i suchem; przyczyną takiego opowiadania jest przedewszystkiem ubóstwo treści. Kronika Nowhorodzka jest kroniką losów jednego miasta, jednego okręgu; lecz przytem nie można pominąć wpływu charakteru narodowego, gdyż w mowach nowhorodzkich obywateli, jakie znajdujemy w kronice, widzimy też niezwykłą krótkość i siłę; widać, że Nowhorodzianie nie lubieli nawet kończyć mowy, lecz mimo to rozumieli się doskonale; można powiedzieć, że dokończeniem mowy był u nich czyn. Opowiadanie kronikarza południowego natomiast odznacza się bogactwem szczegółów, żywością, przedstawieniem obrazowem, powiedzieć można — artyzmem; przedewszystkiem Wołyńska kronika wyszczególnia się układem nadzwyczaj poetycznym; trudno nie dopatrzeć się tutaj wpływu natury południowej, charakteru ludności południa. W końcu opowiadanie kronikarza Suzdalskiego suche, lecz bez siły wyrażenia Nowhorodzkiego; gadatliwe, lecz bez śladu artyzmu wyrażenia południowego. Ta różnica literackiego stylu, oparta na różnicy charakteru narodowego, widoczną była jeszcze wtedy, gdy Ruś, aczkolwiek podzielona, żyła jeszcze w swem niezależnem życiem politycznem. Lecz w połowie XIII. stulecia stan ten się zmienił. Pogrom tatarski rozbił polityczną niezależność Rusi, a w XIV. wieku Litwa, zawojowawszy Ruś południową, oderwała ją od jakiejkolwiek łączności z Rusią północną, wskutek czego i rozwój obu tych części poszedł różnemi drogami. Po długiej i ciężkiej pracy swych książąt Ruś północna zrzuciła z siebie jarzmo tatarskie i położyła podwaliny dla nowego państwa, niczem nie podobnego do tego, jakie istniało na starej Rusi przed najściem Tatarów; Ruś zaś południowa weszła razem z Litwą w skład polskiej Rzeczy pospolitej i w XVI—XVII. st. wytworzyła u siebie takie początki oświaty tudzież życie duchowego i religijnego, jakie zupełnie nie były podobne do owych staro- lub północno-ruskich. W XVI. i XVII. stu-

[1]) Separatyzmem nazywają Moskale dążenie Ukraińców do samodzielności narodowej. — M. Ł.

lecie oba te typy, północny i południowy, już tak są od siebie oddalone, że prawie przestają rozumieć się nawzajem. Różnica ta bardzo jest widoczną i w literaturze. Ruś północna, prawie zupełnie pozbawiona oświaty i szkół, obraca się w tem kole tradycyi literackiej, jakie się jeszcze utworzyło na Rusi przed Tatarami, nie wniosła zaś w tę tradycyę żadnej nowej treści; Ruś południowa zakłada u siebie regularne szkoły, wytwarza nowy język literacki, nowe literackie formy, o wiele wolniejsze i oryginalniejsze od staroruskich, wreszcie przy końcu XVII. w. staje się krzewicielką oświaty na Rusi północnej. I kiedy takie pamiętniki staroruskie, jak „Pieśń o pułku Igora“ i kronika Wołyńska, przynajmniej jako tako zaliczyć można do literatury wszechruskiej, to pamiętniki południowo-ruskiej literatury, powstałe w wyżej wspomnianym czasie, jak prace ks. Konstantyna Ostrogskiego, Harysyma, Smotryckiego, Iwana Wyszeńskiego, braci Zyzaniów, Jurka Rohatyncia, Kyryła Stawroweckiego, Mełetyja Smotryckiego, Zacharyi Kopysteńskiego, Petra Mohyły, Galatowskiego, Baranowycza, Szumlańskiego, Wełyczki, Hrabianki i wiele innych tak dalekie są od stosunków za Iwana Groźnego, metropolity Makarego, protopopa Awwakuma i t. p., że A. N. Pypin, najnowszy historyk literatury rosyjskiej, wcale nawet nie wspomina o nich, lub wspomina tylko o ile one wchodziły w zetknięciu się z Rusią północną. Otóż bez pomyłki powiedzieć można, że już w XVI. i XVII. stuleciu istniały d w i e r u s k i e l i t e r a t u r y, tak oddalone od siebie językiem, stylem literackim, żě traktowanie ich jako jedną całość niemożliwem jest dla bezstronnego uczonego.

A kiedy w połowie XVII. wieku wskutek powstania Chmielnickiego znów nastąpiło połączenie Rusi południowej z północną, które to połączenie było i jest tylko częściowe, to wskutek tego nie nastąpiło wcale połączenie literackie bo prawda, Ruś północna absorbowała długo południowo-ruskie siły oświaty i kultury, starała się zaprowadzić też jednostajność literacką, paląc z przyczyn wyznaniowych wiele ksiąg południowo-ruskich, lecz literatura południowo-ruska zanadto była połączona z tradycyami, interesami i upodobaniami południowo-ruskiego narodu, by mogła zniknąć z oblicza ziemi. Wypchnięta z drukarni rozwija się ona w XVIII. st. zapomocą rękopisów; co więcej, właśnie dlatego zbliża się do ludu, staje się własnością szerokich mas, przetapia stary dobytek książkowy odpowiednio do ich potrzeb tudzież wnosi coś nowego, przynajmniej w formie, jeżeli już nie w treści. Z resztek dawniejszego dramatu religijnego powstają wiersze lub oracye, pisane czystym językiem narodu, o treści wybitnie satyrycznej lub humorystycznej; oprócz treści cerkiewnej wiersze te opiewają współczesne dzieje jakoteż omawiają stosunki socyalne, wskutek czego już w połowie XVIII. wieku wytwarza się ów styl literacki, który jak widać w Eneidzie Kotlarewskiego, we wierszach Hułaka-Artemowskiego tudzież w opowiadaniach Kwitki (np. Wiedźma Konotopska). Pisarze owi nie byli wcale nowatorami; w swych ukraińskich utworach mieli oni wzgląd tylko na to, co już istniało wskutek poprzedniego duchowego i literackiego rozwoju narodu południowego, ukraińskiego.

Przeglądając całą historę literatury południowo-ruskiej aż do końca XVIII. w., widzimy, jak powoli, wśród ustawicznych nieszczęść i wskutek braku normalnie postępującej oświaty, przebija się w niej przez naśladownictwo, szablonowość i tradycyę cerkiewną samodzielna praca duchowa, żywy pogląd na potrzeby narodu i na zadania literatury, tudzież żywy język. Z początku objawy te były częstsze i silniejsze. Widać je w pismach metropolity Ilaryona, w Geczerskim Pateryku[1]), w początkowej kronice, w pismach Kyryła Turowskiego, w Patomniku[2]) ihumena Danyła, w naukach Włodzimierza Monomaha, a najwyraźniej w „Pieśni o pułku Igora“. Temu pięknemu rozwojowi przeszkodził pogrom tatarski; kronika Wołyńska była łabędzią pieśnią rozwoju tego. Teraz następuje ciemny peryod upadku, aż pod koniec XVI. w. pod wpływem reformacyi i kontrreformacyi jezuickiej, która pragnęła w ziemiach ruskich powetować stratę poniesioną w Niemczech, powstała obszerna literatura polemiczna, pełna żywego interesu narodowego, tudzież połączone z nią usiłowania aby stworzyć własną naukę (katechizmy, ele-

---

[1]) Żywoty świętych peczerskich.

[2]) Potomnik: wędrowiec do ziemi świętej; tutaj opis podróży do tej ziemi.

mentarze, słowniki, gramatyki). Lecz pod wpływem ogólnego ożywienia powstają teraz zupełnie nowe rodzaje literatury, nieznane starej Rusi, jak pamiętniki i wspomnienia osobiste (Jewłaszewskyj w XVI. stuleciu i kronikarze kozaccy w XVII. w.), wiersze treści z początku religijnej, później zaś świeckiej, dramaty i utwory humorystyczno-satyryczne. W tym czasie pojawiają się tłumaczenia i przeróbki romantycznych powieści zachodnio europejskich, zbiory anegdot i nowel, Co prawda przeważna część tej literatury była impersonalna albo też osoba autora zamało występywała naprzód, wyjąwszy chyba takich zdolnych polemistów, jak Iwan Wyszeńskyj. Przyznać też należy, że ci południowo-ruscy pisarze, występując jako nowatorowie w porównaniu z dawną tradycyą staroruską, byli zacofanymi w porównaniu do ówczesnego stanu oświaty i literatury zachodnio-europejskiej, że oświecali Ruś nie tem, co uważanem było w zachodniej Europie za oświatę prawdziwą, lecz zastarzałą już wtedy sabolastyką i odgłosami powieści rycerskiej i romantycznego dramatu. Na nieszczęście kwawe wojny kozackie, które zajęły sobą drugą połowę XVII. w. i strasznie spustoszyły część Ukrainy, leżącą na prawym brzegu Dniepru, zniszczyły centra życia duchowego i literackiego, założone tam przedtem i zatamowały jego rozwój. Co jeszcze zostało, poszło na służbę do Moskwy, zapalało ognie oświaty w Potocku, Rostowie, a nawet daleko na Sybirze w Pobolsku, stare zaś źródło oświaty, Kijów wysychało co raz bardziej.

Zresztą nie trzeba zapominać, że ta nowa literatura moskiewska, która dzisiaj może być chlubą nietylko narodu moskiewskiego lecz całego słowiańskiego plemienia, była w swoich początkach w XVIII. w. płodem wspólnej pracy Moskali i Uraińców i że właśnie ci ostatni należą do tych, którzy szli w pierwszych szeregach pisarzy postępowych, wprowadzając literaturę na nowe, nieznane dotąd drogi. Dosyć powiedzieć, że w XVIII. w. obok Moskali Radiszewa i Nowikowa widzimy Ukraińców Kapnista i Karazina; obok Karamzyna jako powieściopisarza widzimy Nariżnego i Pohorilskiego; obok Żukowskiego, tłumacza Iliady, widzimy Ukraińca Hnidycza, tłumacza Odyssei, obok genialnego Puszkina nie mniej genialnego Ukraińca Gogola. Wszyscy oni, pracując nad wytworzeniem się wielkiej, nowoczesnej literatury i oświaty rosyjskiej, pracowali w duchu starej tradycyi narodu ukraińskiego, tej samej, która kazała Chmielnickiemu połączyć się z Moskwą, a uczonym kijowskim pracować dla niej. Wśród nowych stosunków znaczyła ta tradycya tyle, co powstanie wielkiego państwa nowoczesnego, które mogłoby zaspokoić kulturne potrzeby całego narodu ruskiego i całej Słowiańszczyzny. Lecz oprócz tej tradycyi żyła w południowej Rusi i nigdy nie gincła druga: tradycya kształcenia własnej odrębności, własnego rodzinnego charakteru, kraju i narodu w piśmiennictwie i sztuce. Tradycyi tej nie uważano w tym czasie i przez długi czas później ze sprzeczną tradycyą pierwszą; nie myśląc o politycznem oddzieleniu się od Rosyi, przeciwnie, uważając się jej częścią, widząc w jej sile swoją siłę, a w jej rozwoju swój rozwój, Ukraińcy rozumieli zarazem, że właśnie w interesie tego rozwoju i tej siły leży kształcenie Ukraińskiej odrębności narodowościowej, zaspakajanie potrzeb duchowych ukraińskiego narodu w jego języku ojczystym i w tych formach, do jakich on przywykł, a jakie wytwarzały się przez wieki. Wyrazem tej drugiej tradycyi był Kotlarewśkyj i jego Eneida.

W r. 1784 r. poczęto drukować we Wiedniu trawestyę Eneidy, napisaną przez exjezuitę Blumauera. Trawestyę tę przerobił na język moskiewski niejaki Osipow, człowiek niewielkich zdolności, lecz za to nader pilny, który zatarłszy jaskrawe farby satyry Blumauera, uczynił swój utwór wodnistym i bezbarwnym. Tę Eneidę Osipowa, wziętą z niemieckiego wzoru, obrał sobie za kanwę Kotlarewskyj, wyhaftowawszy na niej pyszne wzory ukraińskiego, tudzież jaskrawe obrazy z życia narodu ukraińskiego. Przy to stworzył Kotlarewskyj taki poemat, ktćez dotychczas nie stracił swej siły i świeżości, podczas gdy wzór jego bezpośredni, Osipow, i pośredni, Blumauer, dawno już poszli w zapomnienie. Było to charakterystyczną wskazówką dla dalszego rozwoju literatury ukraińskiej: motyw europejski, wzięty z Petersburga, lecz opracowany żywym językiem ukraińskim, tudzież zapełniony treścią ukraińskiego życia i charakteru.

Tak więc doszliśmy do charakterystycznej różnicy między piśmiennictwem ruskiem starem, a nowem. Stare piśmiennictwo w pe-

ryodzie trwającym do najazdu Tatarów było przeważnie nieoryginalne i impersonalne. Można powiedzieć, że ono się dusi pod naciskiem powagi cerkwi. Tylko słowo cerkiewne miało wtedy znaczenie; za najlepszego pisarza uważano tego, który znał najwięcej tekstów z pisma świętego i z ojców kościoła, tudzież mógł udowadniać na ich podstawie wszelkie sprawy, „nic nie dodając ze swego rozumu“. Mamy wiele przykładów, że pisarz nauki, napisawszy coś własnego, nie śmiał puszczać tego w świat pod swojem imieniem, lecz umieszczał w tytule imię jednego ze znakomitych ojców Kościoła, zazwyczaj Jana Złotoustego. Wyjąwszy kronikę i próby poezyi świeckiej, kładziono wtedy przedewszystkiem nacisk na tłumaczenia, kompilacye i wyciągi z grecko-bizantyńskich pisarzy cerkiewnych. Nawet kroniki nie były wolne od takich wyjątków, a żywoty świętych ruskich są niejako mechanicznemi kopiami żywotów bizantyńskich świętych z czasów późnego, szablonowego stylu i tylko tu ieówdzie widać tu złote ziarna żywej rzeczywistości ruskiej wśród szarego piasku próżnej retoryki.

W południowo-ruskiej literaturze XVI. do XVIII w. stan ten znacznie się zmienił. Teraz występuje cały szereg pisarzy o wybitnej indywidualności, już i w piśmiennictwie południowo-ruskiem daje się odczuć bliskość Europy, i to nie z czasów humanizmu i reformacyi, lecz dawniejszej jeszcze scholastycznej. Literatura staje się mniej szablonową, zbliża się do mas ludu i poniekąd staje się ich własnością duchową. Lecz mimoto postępuje ona o parę set lat w tyle za rozwojem Europy, a dla ówczesnego Europejczyka może mieć ona interes, tak co do treści jako też co do języka, tylko jako coś przeżytego. Nie daje też ona prawdziwej oświaty według ówczesnych pojęć i nie wkłada nic oryginalnego do skarbnicy wszechludzkiego postępu. W porównaniu z piśmiennictwem staroruskiem wyda się nam ona postępową, lecz porównawszy ją z ówczesną literaturą reszty Europy, musimy uznać ją zastarzałą.

Otóż doszliśmy w historyi literatury ukraińskiej do tego czasu, w którym Kotlarewskyj swą Eneidą dał początek peryodowi odrodzenia literatury ukraińskiej. Z tego krótkiego przeglądu widzimy, że literatura ukraińska jest o wiele starszą od innych literatur słowiańskich, i że najnowszy jej peryod. któremu początek dał Kotlarewskyj jest tylko dalszym jej ciągiem, a nie jakimś sztucznym wymysłem, jakąś intrygą, jakto czasem głoszą niektórzy polscy stańczycy i Moskale. (Dok. nast.)

Takich więcej.

Jeżeli w „Promieniu“ krytykowaliśmy dzisiejszy system naukowy w szkołach galicyjskich i potępialiśmy fałszywy kierunek, w jakim młodzież prowadzi ogół jej przewodników duchowych — to jednak wierzyliśmy zawsze i byli przekonani, że istnieją wyjątki, że są szlachetniejsze jednostki, które inaczej pojmują swoje powołanie.

To też zawsze, gdzie sie nadarzała sposobność podnosiliśmy i zaznaczali to, co było godnem uznania i co było obowiązkiem uznać ze strony młodzieży. Że zaś taka sposobność nie często przychodziła — nie naszą to winą.

Wiemy aż nadto dobrze, że owe wyższe jednostki wśród ogółu nauczycielskiego nie zawsze mogą i nie zawsze mogły zająć takie stanowisko, które ich przekonaniom jedynie odpowiadało, boć przecież w Galicyi wystąpić samodzielnie — wyjawić swój sąd niezależny, wyłamać się zuchwale z pod schematu ogólnie uznanego i bezmyślnie strzeżonego — to zbrodnia przeciw jednemu z mnóstwa „kodeksów“, która bezkarnie nie uchodzi, a na „niespokojne“ duchy, nie chcące ugiąć karku pod to jarzmo, istnieje łatwy sposób „usunięcia z drogi“.

To też na tem większe uznanie i na prawdziwą miłość ze strony młodzieży zasługują ci z jej, kierowników, którzy na owe „środki“, na ową „kiepską opinię“ u sfer wyższych nie zważają, ale śmiało. z szlachetną odwagą i z poczuciem spełnienia prawdziwego obowiązku, zaznaczają swe stanowisko odrębne. Takich ludzi młodzież oceni sama i za takimi pójdzie w ślady na drodze życia.

Kapelusz urzędowy i szpada pedagoga-biurokraty pozostaną zawsze śmiesznemi, mijając się z celem, którym jest „poszanowanie dla władzy“.

Do takich profesorów-ludzi należy p. Franciszek Bizoń, profesor gimnazyum IV. we Lwowie, który w swym artykule p. n. „Skórobójcy“ („Słowo polskie“ Nr. 207 i 208 z dnia 31 sierpnia i 1 września b. r.) dał należytą odprawę owym „czarnym duchom“, usiłującym wznowić w szkołach ludowych barbarzyński system „kary cielesnej“.

Przytaczamy niektóre wyjątki z tego artykułu:

Wielkie prądy cywilizacyjne, szczególnie humanizm, niosący ze sobą łagodniejsze i szlachetniejsze sposoby postępowania z człowiekiem, a więcej jeszcze, o wiele więcej — ruch wychowawczy, wywołany naturalistycznymi i gorącymi poglądami Rousseau'a, nie pozwoliły się rózdze jako symbolowi pracy pedagogicznej, ustalić na dobre i przejść do naszych czasów w aureoli już świętej i respekt nakazującej tradycyi; szkoda. Byłaby w historycznym lamusie ludzkości jedna prawowierna i nietykalna świętość więcej, jeszcze jeden zakon więcej, pełen zasług i chwały, broniący starodawnych cnót, których nigdy nie było — zakon rycerzy rózgi.

„Co jest atoli, co ludzi pcha ku temu anachronizmowi wychowawczemu po tylu doświadczeniach i zdobyczach na polu wychowania? Co jest, co w nich niecierpliwą budzi tęsknotę za tem bezeceństwem, które się nazywa szumnie choć skromnie „energią“, a jest w swej istocie dzikim i brutalnym aktem przemocy fizycznej nad istotą słabą?

„Chodzi mi w odpowiedzi na te pytania — w pierwszej linii o tych majstrów naczelnych, co hasła społeczne w ruch puszczają, społeczeństwu ton nadają, przynajmniej na odległość owczego skoku, a wraz z nimi, chodzi mi o służebną falangę lojalnych duchów, która owe hasła w lot chwyta, aby przecież — bodaj przy pomocy judaszowskich srebrników — wypłynąć, zabłysnąć, karyerę zrobić.

„Karyerowicz jest wszędzie, na każdem polu, istotą szkodliwą i marną, w dziedzinie zaś pracy wychowawczej, wobec dusz młodocianych, natur jeszcze miękich i wiotkich, jest stworzeniem wprost wszetecznem i nikczemnem; tylko dla karyerowicza „wychowawczego“ pisałbym się na chłostę cielesną.

„Zwrot, a raczej jeszcze nie zwrot, tylko wołanie, westchnienie do kary cielesnej jest jednym z licznych objawów prądu wstecznego, nieśmiertelnego, jak głupstwo ludzkie jest nieśmiertelne.

„I oto rozpoczyna się nagonka na i n d y w i d u a l i z m, która jest n i e c n ą, niską i nędzną walką, prowadzoną przeciw najwyższej świętości człowieka. Bo indywidualizm, to jutrzenka naszych czasów, to jedyne piętno człowieczeństwa, jego najwewnętrzniejsza treść i miazga; on sam jeden tylko pewną wartość i cenę ludzkiemu życiu nadaje, on wszystko stwarza, trzyma, buduje.

„Siedliska osobowości są tak rozliczne, jak mnogie są źródła w gmachu; gniazdem atoli, gdzie się ona pleni i krzewi najbujniej ogniskiem, w którem się wspaniale skupia lub skupiać powinna i skąd na cały świat dobroczynnie promieniuje, to — s z k o ł a. Tu, w tem najłaskotliwszem i najwrażliwszem miejscu trzeba przedewszystkiem indywidualizm zgnieść, tu poczucie osobowości, własnego poszanowania się zgnębić już w dziecku, złamać, spodlić, zabić, a będzie dopiero można odpocząć spokojnie i z tryumfem zawołać: „Porządek panuje w Warszawie!“ Takie są mrzonki kretynów moralnych, to są owi pracze i mechanicy naczelni podnoszącej się raz wraz pożądliwości za karą cielesną, jako najdzielniejszym, jeśli nie jedynym środkiem porządnej i zdrowej edukacyi.

„Zrozumienie ostatecznej zasady wszelkiego gwałtu i przemocy w pracy społecznej, wymaga zrozumienia dziejów ludzkości ze stanowiska pierwiastku postępowego, borykającego się nieustannie z pierwiastkiem zachowawczym gnuśności i bezwładności. Postęp czerpie swe siły z zasobów moralnych i intelektualnych tej niewyczerpanej krynicy, jaką jest „indywidualizm“. Każdy krok na przód w dziejach cywilizacyi, każda zdobycz nowa w walce z przyrodą, każdy nowy wynalazek, utrwalający potęgę i moc ludzką — jest nowem drgnięciem osobowości“. Aby zaś ludzkość zabagnić potrzebuje tylko zamarły czerep konserwatyzmu zionąć swym trupim jadem — a powstaną czasy saskie i konfederacya targowicka!

„Podczas, gdy wstecznik z rodu, z krwi. nienawidzi i ściga wolność myśli, swobodę ruchu już z natury swojej, tak, jak duch ciemności nienawidzi ducha światła — to fanatyk, n. p. doktryner tępi indywidualizm, gnębi człowieka w tej złudnej nadziei, żeby

go uszczęśliwić — gnębi go w dobrej intencyi.

„Ruinę pozostawia po sobie robota takiego działacza na każdem polu, którego się dotknie — a cóż dopiero na polu wychowania, gdzie potrzeba, z powodu materyału w nieskończoność zróżnicowanego, nadzwyczajnej baczności, rozwagi delikatnej, i nigdy niezmużonej ostrożności.

„Ale tego rodzaju skrupuły nie niepokoją dogmatycznego pana: obić w taki lub owaki sposób, wypędzić, zamknąć do bezmyślnego aresztu — jest sprawą, która się na poczekaniu załatwia tak, jak n. p. w innej sferze życia „obywatelskiego", posyła się kogoś do Irkucka, czy Kufsteinu, albo się go wreszcie na stosie pali, a zawsze na większą chwałę Bożą.

„Nic dziwnego, że kłosy na błoniu niebotycznej ignorancyi wyrosłe, chylą swe główki w kierunku pokrewnej im pedagogii Mądrego Maciusia z baśni: pozabijał wszystkie owce, żeby je w porządku utrzymać; ani nie widać w tych głowach dalekiego świtu zrozumienia tej prawdy, że dzikość w wychowaniu, w najbardziej homeopatycznej dawce, jest wprost zaprzeczeniem wychowania.

„Otóż pewnem jest, — nie ma żadnej apelacyi — że indywidualizm jest ze znanych nam form energii czynnej czy utajonej formą najpotężniejszą i najszlachetniejszą i wszystkie inne formy obejmuje w sobie i rozumie.

„Czyby to atoli był ktoś przypuścił, że w naszych czasach. w których z pudlem, słoniem, papugą większych dochodzimy rezultatów za pomocą środków łagodnych, niestrudzenie łagodnych i spokojnych, konsekwentnie spokojnych, że w tych czasach da się słyszeć głos — zupełnie poważnie i na seryo — za biciem dziecka ludzkiego i to nie w chwili uniesienia, zapomnienia — ale metodycznie w sposób obmyślany i wystudyowany z góry?

„Używać dziś kary cielesnej przy nauce i za naukę, plagami przemawiać do inteligencyi i pojętności, za pomocą kija budzić uczucia sympatyi, przywiązania i życzliwości, to chyba zanadto forsowna, zanadto naciągana przemiana pierwiastku grubo materyalnego w duchowy".

Internaty w gimnazyach w Królestwie polskiem.

Rząd moskiewski, który przy swej nikczemności i okrucieństwie jest przeważnie nieskończenie głupi, miewa niekiedy pomysły szczęśliwe. Do takich szczęśliwych pomysłów należy zaliczyć bazwarunkowo zaprowadzenie internatów dla uczniów przy gimnazyach w Królestwie polskiem.

Kto zna choć trochę szkołę rosyjską, wie jak ogłupiającą i demoralizującą jest ona dla młodzieży. W wychowaniu publicznem tendencya rządu moskiewskiego zmierza zawsze do tego, by mieć jak najmniej ludzi myślących, zwłaszcza myślących samoistnie, najmniej prawdziwej inteligencyi, produkując sobie natomiast potrzebną ilość maszyn do leczenia ludzi, budowania mostów itd., jednem słowem pewną ilość „czynowników", znających tylko jako tako, swoją specyalność, ślepo posłuszną zwierzchności i jej „ukazom," umiejących sprytnie uprawiać szpiclostwo, niewolniczo przywiązanych do car'a-bat'ki, nienawidzących wszystkich i wszystkiego, co się przeciw jego władzy buntuje.

W zdaniach polskich do powyższego dołącza się jeszcze naturalnie rusyfikacya par force, wyplenianie języka i myśli polskiej, obrażanie na każdym kroku uczucia polskiego. Jeżeli do tego dodamy niebezpieczny wpływ, na jaki z konieczności narażony jest malec ze strony rozmaitych kolegów, wśród których trafiają się niekiedy typy, w bardzo już wysokim stopniu zdemoralizowane, to pojmiemy jak ważną jest rzeczą, by chłopiec, oddany do gimnazyum, a nie mający w tem samem mieście rodziców, umieszczony był na odpowiedniej „stancyi", gdzie miałby nietylko dyscyplinarną, ale i moralną opiekę, gdzie znalazłby skuteczne przeciwdziałanie wpływowi, jakie wywiera szkoła. Byleby malec szczęśliwie przeszedł tym sposobem parę pierwszych klas i zdążył stać się z dziecka młodzieńcem, da on już sobie radę, bo system moskiewski jest tak głupi, że osiąga skutki wprost przeciwne, że w niezdemoralizowanym jeszcze młodzieńcu, wywołuje reakcyę, każe mu szukać prawdziwej wiedzy poza murami szkoły, wyrabia w nim głęboką nienawiść do władzy szkolnej bezpośrednio, a pośrednie do całego systemu rządowego i najeźdzcy, którego władza szkolna jest tylko organem; czuje się

***

on zagrożonym w najświętszych swych prawach, czuje potrzebę samoobrony, więc się kształci, organizuje, wyrabia w sobie co raz większą nienawiść do wroga i zaprzysięga zemstę.

Stąd pochodzi, że tę ogłupiającą szkołę moskiewską opuszczają częstokroć młodzieńcy już wyrobieni, że niejednokrotnie wprost z tej ławy szkolnej wychodzą ludzie. Rząd moskiewski widział to i postanowił złe usunąć przez zaprowadzenie internatów, a więc przez usunięcie ucznia od wpływu ludzi i okoliczności, działających nań poza szkołą.

Internat jest to budynek obok gmachu szkolnego specyalnie ad hoc wybudowany, lub na mieście czasowo wynajęty i zupełnie w zawiadowstwie władzy gimnazyalnej pozostający. Gospodarzem jest dyrektor gimnazyum z całym sztabem nauczycieli, dozorców, pedli, diad'ków i lokai. Klauzura jest tam niemal klasztorna, a rygor wojskowy. W internacie takim mieszkać muszą wszyscy uczniowie, nie mający w mieście najbliższych krewnych, t, j. rodziców, rodzonych dziadków, rodzonej siostry starszej lub starszego brata, u „ciotecznych“ nawet już mieszkać nie wolno. Gdy internat jest pełny, ma prawo dyrektor pozwolić niektórym uczniom mieszkać u wybranych nauczycieli, którzy za tę przyjemność każą sobie płacić po 400, 500 i 600 rubli rocznie. Niekiedy nawet uczniowie, mający w mieście rodziców, przyjmowani są pod tym tylko warunkiem, że mieszkać będą w internacie. Z drugiej strony częstokroć przyjmują do gimnazyum największych osłów i nieponiów dlatego tylko, że obiecują zamieszkać w internacie. Jest też stałe protegowanie w szkole „internatczyków.“ Mogą oni nic nie robić, nic nie umieć i jak najgorzej się prowadzić, a pomimo tego przepychani są z klasy do klasy i gimnazyum skończą. To też zdarza się, że rodzice, mając synalka, z którym nic nigdzie zrobić nie mogą, a kształcić go chcą koniecznie, odwożą go do internatu, oddają pod ojcowską opiekę pana dyrektora i synalek szczęśliwie posuwa się naprzód, kształcąc swój umysł i serce, obiecując być „świecznikiem“ i „chlubą społeczeństwa. Mogą więc sobie czytelnicy wyobrazić, jaki dobór kolegów przedewszystkiem napotkać może malec, przekraczając próg internatu. Piszący to miał szczęście rok jeden w internacie takim bezpośrednio po jego założeniu mieszkać, naocznie przypatrzyć się wszystkiemu i przyjść do przekonania, że chłopiec, który od wstępnej klasy oddany zostanie do internatu i przebędzie tam do końca gimnazyum, ma wszelkie szanse zdać maturę jako skończony szubrawiec, godny stryczka.

Ażeby twierdzenie powyższe nie wydawało się gołosłownem, pozwolę sobie bliżej zapoznać czytelników z całem życiem wewnętrznem internatu i podzielić się z nimi kilkoma zaczerpniętemi tam spostrzeżeniami.

Otóż przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że internaty miewają dwojaki charakter, żależnie od tego, jakiego rodzaju „czynownik“ jest dyrektorem, są ich bowiem dwa rodzaje: jedni przeważnie kradną i biorą łapówki, a potem dopiero rusyfikują, drudzy są „patryotami“, starają się na zewnątrz przynajmniej pokazywać ręce czyste, całą energię wkładają w rusyfikowanie bez przebierania w środkach, marząc o tej chwili, kiedy zabiegi ich przyniosą owoce, spostrzeżone i ocenione będą przez zwierzchnią władzę.

Gdy trafi się dyrektor łapownik, chodzi mu przedewszystkiem o to, by na internacie najwięcej zarobić, to też zaczyna się tam gospodarka rabunkowa, głodzenie uczniów, wprowadzanie nieskończonej ilości postów nietylko na maśle, ale i na oleju, zmniejszanie personalu służbowego, oszczędności na praniu i t. d.

Tego typu internaty znam tylko z opowiadania, sam zaś byłem w internacie, gdzie dyrektorem był typowy „obrusitiel,“ żył z pochodzenia, antisemita zaciekły, który zapowiedział, że „jewrejew i synowiej praczek prinimat' nie budiet *)“ i konsekwentnie trzyma się tego, który niechętnym okiem patrzy na uczniów zdolnych, a proteguje „kowali“, który największą pieczołowitością otacza swój internat, wpadając doń kilkakrotnie na dobę — nietylko w dzień ale i w nocy.

Internat ten jest to tymczasem najęty dom dwupiętrowy, póki nie wybudują własnego. — Brama jest szczelnie dzień i noc zamknięta, w bramie siedzi diad'ka i nikogo bez specyalnej kartki od inspektora lub dyrektora nie wypuszcza. Utrudniony jest również przystęp do internatu dla osób obcych. Na

---

*) „Żydów i synów praczek przyjmować nie będzie.“

parterze mieszka inspektor oraz jeden z nauczycieli, który jest zarazem dozorcą w internacie; na parterze również — przynajmniej w roku założenia — były dwa pokoje, przeznaczone specyalnie dla uczniów najmłodszych z klasy wstępnej, którzy tam spędzają dzień i noc, zupełnie będąc oddzieleni od starszych swoich kolegów. Ci ostatni, to znaczy wszyscy uczniowie prócz klasy wstępnej mieszczą się we dnie na pierwszem piętrze, sypialnie zaś mają na drugiem piętrze. Pierwsze piętro składa się z kilku sal, w których uczniowie rozmieszczeni są klasami. Każda z niższych klas aż do IVtej włącznie posiada swoich t. zw, „dyżurnych", t. j. uczniów z VII i VIII, niekiedy i z VI klasy, mających nadzorować powierzonych im młodszych kolegów. Każda klasa, stosownie do ilości uczniów ma jednego lub dwóch takich dyżurnych. O obowiązkach tych ostatnich będzie jeszcze mowa. — Władza nadzorcza spoczywa w rękach trzech stałych dozorców, z których dwóch nieodłącznie — dzień i noc być musi w internacie; prócz tego dorywczo wpada dyrektor; godzinami niekiedy przesiaduje mieszkający na dole inspektor, odwiedzają internat zwykli nauczyciele gimnazyum. Zaznaczyć wypada, że Polaków nauczycieli jest bardzo mało, od jakichś 10 lat bowiem zaprzestano Polaków mianować na etatowe posady nauczycielskie, pozostawiwszy dawniej już mianowanych na wymarcie. — O godzinie $6^1/_2$ rano specyalny diad'ka chodzi po sypialniach z dzwonkiem i dzwoni, co znaczy, że trzeba wstawać. Jakoż za chwilę pokazuje się dozorca, już ubrany i nagli tych, których jeszcze zastaje w łóżkach.

Opuszczam już opis koszarowych sypialni, umywalni i t. d. Z sypialni schodzi się na pierwsze piętro, gdzie niebawem lokaje roznosić zaczynają śniadanie — herbatę, mleko i 2 bułki na ucznia. — Wkrótce potem parami, z tornistrami na plecach, w asyście dozorcy idziemy do gimnazyum, przyczem „dyżurni" iść muszą rynsztokiem, każdy obok powierzonej sobie klasy, dla pilnowania porządku. — O 12-ej jest półgodzinna przerwa w lekcyach i wtedy wpada się do internatu na drugie śniadanie, składające się z jakiegoś kawałka chleba z serem, niekiedy szklanki kawy. Lekcye trwają zazwyczaj do $2^1/_2$-ej, czasem do $3^1/_2$-ej po południu. Przychodzi się do internatu na obiad. Nie umiem już dziś dokładniej określić, z czego się obiad taki składał, ostatecznie jednak, w owym 1-szym roku przynajmniej, był możliwy do jedzenia, o ile pamiętam. — Po obiedzie jest spacer; prócz chorych iść muszą wszyscy w tym samym co do gimnazyum porządku— parami z dozorcą z tyłu a dyżurnymi w rynsztokach. — Spacer taki trwa około godziny, poczem uczniowie wracają do domu, mają zająć swoje miejsca i uczyć się t. j. przygotować lekcye na dzień następny.

Jak jednak idzie taka naukai?

Piszący to był „dyżurnym" i miał pod swoją opieką 12 uczniów. Zajmują oni w swej sali miejsca naokoło długiego stołu, na środku pokoju stojącego. U szczytu siada dyżurny. — Dozorcy i nauczyciele przechadzają się po salach. — Każdy z uczniów ma prawo w każdej chwili wymagać od swego dyżurnego pomocy lub wskazówek w odrabianych przez się lekcyach; żaden nie ma prawa opuścić swego miejsca choćby dla zrobienia 3 kroków do swojej szafki bez pozwolenia „dyżurnego", „dyżurny" też baczyć winien, by uczniowie nie rozmawiali z sobą, lecz uczyli się, a jednocześnie sam ma swoje lekcye na drugi dzień przygotowywać.

Ostatecznie z tego wszystkiego wynika ciągły chaos, a ani chwili spokoju, bardzo mało kto istotnie może coś robić i robi. Zaznaczyć wypada, że mający niby to panować w czasie nauki spokój jest co chwila przerywany, to wejściem inspektora lub dyrektora, pociągającem za sobą powstanie wszystkich z swych miejsc, to gadaniem z morałami lub uwagami władzy, to wreszcie odbywana od czasu do czasu przez tę władzę w szafkach rewizya, w poszukiwaniu niby to tytoniu a właściwie książek polskich. O ósmej godzinie podają wieczorną herbatę. Jak przed każdem zresztą jedzeniem, daje się słyszeć dzwonek, na głos którego zbiera się ze stołu książki, zjawiają się lokaje ze szklankami herbaty, z kubkami mleka i bułkami na tacach. Jak przed każdem jedzeniem wchodzi do sali dozorca, wszyscy wstają, żegnają się, a jeden z uczniów odmawia modlitwę — naturalnie po moskiewsku. — Wypija się herbatę, po czem następuje klasyczne „słuchanie lekcyi", polegające na tem, że każdy dyżurny ma przesłuchać wszystkich swoich uczniów i sprawdzić, czy każdy z nich do-

statecznie przygotował to, co ma na następny dzień zadane. Naturalnie, o ile jest podobieństwem przesłuchać dokładnie 12 uczniów w przeciągu niespełna dwóch godzin — okazuje się, że przeważnie żaden nic nie umie. Co ma ów nieszczęśliwy dyżurny robić? Posiada on specyalny dziennik, w którym obok rubryk o prowadzeniu się i t. p. jest rubryka na wpisywanie stopni z wysłuchanych lekcyi. Co niedziela inspektor przegląda dziennik i tych uczniów, którzy złe mają w nim stopnie, skazuje na kozę lub inną karę; wobec tego więc dyżurny, o ile naturalnie nie jest zwykłym szpiegiem dyrektorskim, wpisuje wszystkim i zawsze stopnie dostateczne, za co znów niejednokrotnie otrzymuje wymówki od inspektora, gdy uczniowie jego otrzymują następnie w szkole złe i niedostateczne stopnie. — O $10^1/_2$ wieczór rozlega się znów — po raz już nie wiem który dzwonek, gaszą się lampy i iść trzeba na górę spać. — Oto jest całodzienny tryb życia, gdzie jest czas na wszystko. tylko nie na naukę i nie na właściwy zdrowy odpoczynek i zabawę. (Dok. nast.)

KORESPONDENCYE.

Wrażenia i refleksya wakacyjne.

Wyjechałem na wakacye w okolicę zachwycającą widokami, a jednocześnie tętniącą życiem przemysłowem. Na samym wstępie przyszła mi do głowy myśl porówania tej miejscowości ze Lwowem.

Już sam zewnętrzny wygląd zasadniczo się różni od sławnej stolicy, sławnego również kraju koronnego. Rzekłbyś: natura zawarła sojusz z wielkim przemysłem; wysokie kominy parskające dymem i parą wcale dobrze wyglądają na tle malowniczej przyrody górskiej: syczenie pary, łoskot i turkot maszyn, dzikie głosy świstawek i syren harmonizują się i dostrajają do odwiecznego szumu potoku druzgocącego kamienie swą potężną piersią w wodospadach.

Ale chodźmy naprzód i przyjrzyjmy się wszystkiemu bliżej i dokładniej.

Uderza wszędzie ogromny ruch. Ale czyż to ten ruch uliczny naszej wielko- i małomiejskiej tz. „inteligencyi“ (szczególne pretensye do tej nazwy) opierający swe prawo bytu na fakcie, że w domu nie ma co robić, więc się wałęsa po ulicy, albo że niema stosowniejszego na razie miejsca do okazania światu swej kulturalnej toalety? Nie tu w oczach każdego, w jego wyrazie twarzy wyczytasz słowo „praca“; tu każda chwila dokładnie wymierzona, tu nie ma czasu na nudy z bezczynności. Ha! a w miejsce kosztownych czupiradeł damskich — które chyba dla dowcipu kapeluszami nazwano — w miejsce fraczków, anglais'ów, mufek i innych „okazów“ wykwitu naszej kilkunastowiekowej kultury, zwanych „Nowemi modami“, — zasmolone bluzy robotnicze.

I w tej chwili przychodzi mi na myśl urywek z wiersza Konopnickiej:

> Lud i praca to są siły,
> A świat cały niemi stoi!!

„Święta prawda!“ pomyślałem „czyż nie my marnotrawimy owoce ich pracy, sami gnuśniejąc w bezczynności, lub zagrzebani do końca życia w bezproduktywnem, acz żmudnem nieraz biurokratycznem zajęciu, zapisując, (Pan Bóg sam nie wie po co i na co,) całe stosy papierów. Ale za to jak się pogardza tym żywiącym wszystkich chłopem i robotnikiem?! Z jaką wyższością i nadętością spogląda na tych zapracowanych nędzarzy lada „urzędnik“ podatkowy!

Ciekawe są także w naszych miastach mierniki wartości człowieka: Wykształcenie, ta przenośnia, w języku zwykłym nazywa się nowomodnym ubiorem, umiejętnością flirtowania, brząkaniem na klawikordzie, paplaniem paru frazesów po francuzku składaniem wizyt według najnowszej ceremonii itd.; cnota to herb i umiejętność trzymania się zdala od czerwono-krwistych; zdolności objawiają się w sprytnem chwytaniu najświeższych plotek (rozumie się ludzie grający główne w nich role pochodzić muszą z „wyższych“ sfer). Ho ho! ciekawa to ta opinia publiczna naszych miast galicyjskich, ciekawe przekonania! warunek na człowieka „du bon ton“ (ten krótki zwrot mieści w sobie prawie wszystkie wymagania, stawiane przez opinię publiczną, by zostać człowiekiem wyższej sfery; można być nawet złodziejem „du bon ton;“) otóż ten frazes jest probierzem inteligencyi, uczciwości nawet. Czasami trafiają się też i wyjątki, ale te mają znów swe prawidła i warunki wejścia w wyższe sfery

streszczające się chyba najlepiej w zdaniu Prusa:

„Do waszych salonów trzeba wpełzać jak pluskwa lub chcąc wejść prosto, zasypać je tysiącami rubli. Tak nienasyconem jest to łakomstwo pokryte maską arystokratycznej wstrzemięźliwości.

Kwestye społeczne, oświatę ludową traktuje się we „wzorowych“ domach tylko z łaski, przez palce; ot — rzuci się tam kiedy niekiedy okiem do „Głosu Narodu“ „Przeglądu“ lub innej jakiej „uczciwej“ i „bezstronnej“ gazety, dla takich gieniuszów to wystarczy; a już ktoby się śmiał odezwać o jakiejś tam „poprawie doli ludu“ i tem podobnych „niebezpiecznych“ sprawach to już na apostatę zakandydował. Ale za to o ileż ważniejszą jest kwestyą, że jegomość X. ma u krawatu fałszowaną spinkę. Jakżeż jaskrawie od tej głupiej zarozumiałości odbija uświadomienie polityczne, jakie spotkałem u robotników fabrycznych owej naszkicowanej przezemnie miejscowości! Niema tam pretensyi do wywyższania się nad drugich, ale jest rzeczywista znajomość swego zawodu, świadomość swych praw i poczucie własnej godności, dalekie od „inteligientnego“ systemu płaszczenia się i protekcyj, Znajdują się tam nieraz marni ludzie, ale podczas gdy u nas to jest nie tylko tolerowane, a nawet uświęcane (jako zmysł praktyczności), to tam sam fakt spotyka się z bezwzględnem potępieniem, a w razie możliwości i karą. Czyż my przywłaszczający sobie patent na uczciwość, inteligencyę i w ogóle doskonałość pod każdym względem mamy chociażby pojęcie o poświęceniu wzajemnem, o solidarności robotników między sobą? Nie! bo nawet jej objawy u nich ganimy, jakby były czemś występnem. (Mówię my, bo niestety i my uczniowie mamy w tych zwłaszcza kwestyach błędne pojęcia; wszak od dziecka pracowano nad ich skrzywieniem). Solidarność strejkowa robotników nie ma sobie równej w żadnej innej warstwie, a nawet przykładu nie znajdzie prawie nigdzie. I podczas gdy wszędzie płaski egoizm w postaci np. konkurencyi święci swe tryumfy, tam poświęcenie w oczy mu urąga i ostatecznie zwycięża siłą jedności wszystkich pokrzywdzonych.

„Wyższe sfery“ uważają się za jedynych spadkobierców patryotyzmu przodków, one tylko dzierzą jego monopol. Ale czyż te „górne warstwy“ narodu mogłyby się zdobyć na podobny krok, jak np. manifestacya dąbrowieckich górników, głosząca okrzykami i napisami na sztandarach (pod panowaniem białego cara w oczach zgrai „przywracających spokój kozaków“) postulat niepodległej demokratycznej Polski! A tymczasem w tych pogardzanych masach wre i kipi podziemne życie społeczne, coś szumi i huczy jak odgłos budzącego się wulkanu zwiastującego, że nadchodzi czas rozsadzenia zapleśniałych skał pierś mu gniotących. A wówczas biada głuchym i zatykającym uszy!!...

Lwów. *St. O.*

Czego nam trzeba.

Każdy z nas, kto tylko bierze żywszy udział w życiu koleżeńskiem, wie doskonale w jakim stanie znajduje się obecna młodzież. Jakby jakaś duszna, śmiertelna mara unosi się nad głowami i tamuje jej każdy żywszy oddech. Zniechęcenie, zupełna bezwładność umysłowa, zobojętnienie na wszystko, składają się na obraz większości młodzieży.

Do jakiego stopnia posunęła się a okropna apatya, może świadczyć choćby ten objaw, że pisemka poświęcone sprawom młodzieży, a których się w ostatnich czasach aż trzy pokazało, mają bardzo nieliczną garstkę czytelników.

W takiej zatęchłej atmosferze żyje się lat parę bezczynnie, aby w końcu otrzymać świadectwo dojrzałości — i pójść w świat. I jakiż los czeka tę młodzież? — oto wchodzi w świat — którego wcale nie zna i ginie w wirze życia publicznego — o którem nie ma najmniejszego pojęcia. I tylko jedna myśl gorączkowo ją trawi: dostać jakąś posadę i tak bez wielkiego wysiłku spędzić dalszy żywot.

Istnieje jednak środek przeciwko temu złemu, środek ten leży w rękach samej młodzieży — do niej więc zwracam się w niniejszym artykule.

Mam tu na myśli, poruszaną już w „Promieniu“ s p r a w ę o r g a n i z a c y i k s z t a ł c ą c y c h k ó ł e k wśród młodzieży gimnazyalnej, które u nas są bardziej potrzebne, niż gdziekolwiek indziej. Od szkoły — nie można oczekiwać pomocy. Samouctwo zaś wydaje najczęściej złe owoce, wyrabiając zarozumia-

łość lub niepewność, (?!) a w każdym razie jest jednostronne. Natomiast wspólne kształcenie się usuwa wiele trudności, a ścieranie się zdań pozwala głębiej i wszechstronniej poznać dany przedmiot, wyrabia pewność w sądach, a przedewszystkiem pobudza do samodzielności i nie zaciera indywidualności.

Sam już więc fakt, że w szkole można nabyć tylko bardzo powierzchownego wykształcenia, i to w kierunkach najmniej pożądanych, lub wcale nie odpowiadających dzisiejszym prądom i potrzebom, powinien być bodźcem do tworzenia podobnych kółek, gdzieby można bez ogródki wypowiadać swe zdania i poglądy.

Ale nie tylko to przemawia za takiemi kółkami kształcącemi. Jest jeszcze daleko ważniejszy wzgląd, dla którego postanowiłem omówić tę kwestyę:

Na młodzieży polskiej ciążą dzisiaj wielkie i nie łatwe obowiązki. Jej powinnością jest utrzymywać i w czyn wprowadzać ideały, które przyświecały bohaterom naszych walk porozbiorowych... Młodzież polska jest w takich warunkach, że nie ma nawet prawa do zabaw i wesela — ale już od dzieciństwa niemal musi się zaprawiać do ciężkiej walki o własną wolność i byt Ojczyzny. A obowiązek tej walki spada przedewszystkiem na tę część młodzieży, która ma do tego najodpowiedniejsze warunki, t. j. na młodzież galicyjską. A jednak — przykro wyznać — my pod tym względem zajmujemy może ostatnie miejsce!

Większość młodzieży, kończąc szkoły średnie ma takie pojęcie o swych obowiązkach względem społeczeństwa i o tem co się dzieje w kraju, jak o cesarzu chińskim; bez odpowiedniego przygotowania wpada w nieznane sobie życie publiczne, jak garść suchych liści rzuconych na wiatr. A przecież to tak ważna rzecz w życiu każdego człowieka zaznajomić się z prądami społecznymi, jakie dziś ożywiają — jeźli już nie świat — to przynajmniej naszą Ojczyznę, własny kraj! a szczególniej koniecznem to jest dla młodzieży polskiej, która nie powinna się — „dla świętego spokoju“ — usuwać od spraw i życia publicznego, lecz właśnie powiększać zastęp tych, którzy się odważają podnieść protest przeciwko gwałtom, dokonywanym na Ojczyźnie. Dlatego powinniśmy się z tem wszystkiem zapoznać jak najprędzej, zawczasu przygotować się do życia publicznego i już teraz do pewnego stopnia wyrobić sobie jakieś przekonania podług których możnaby później postępować, aby nie być manekinami w rękach obcych, to zaś zdaniem mojem — da się uskutecznić za pomocą omawianych kółek. Tymczasem o tem nikt nawet nie pomyśli, chociaż u nas by to łatwiej przyszło, niż gdzieindziej.

Godny naśladowania przykład mamy w Królestwie. — Tam, w tym strasznym, brutalnym ucisku, gdzie z katedr głoszą fałsz, zamiast naukę, gdzie przez prasę ściśniętą, jak kleszczami, rosyjską cenzurą nie może się przedostać żaden okrzyk swobodniejszy, żaden wyraz prawdy — tam nie ma żadnego zakładu naukowego, gdzieby nie było tajnych stowarzyszeń, w których znajduje przytułek prawdziwa nauka i wiedza. I w tym nieszczęsnym kraju, gdzie wychowanie młodzieży jest poruczone „donoscewom“ i policyantom — w tym kraju cały system szkolno-policyjny jest podminowany siecią tajnej organizacyi, tajnych kółek studenckich, z których, mimo wszelkie prześladowania i kary, wychodzą ludzie o charakterach silnych, wyrobionych pojęciach i z wiedzą o wiele większą niż... nasi maturzyści! Dlaczegóżby więc i u nas nie udało się coś podobnego stworzyć? gdzie przecież stosunki nie są tak przykre, tak uciążliwe, jak w Królestwie. Przeciwnie my mamy i przystępne prawie dla każdego wydawnictwa naukowe, ułatwiające popularyzowanie wiedzy, a i prasa nie jest tak skrępowaną; tylko potrzeba korzystać z tego, a jednak tak mało pracujemy nad sobą, że nawet równać się nie możemy z Królestwem.

Ażeby się wyrwać z tej apatyi i inercyi duchowej potrzeba tylko trochę dobrej woli i wytrwałości ze strony młodzieży. Łączmyż się więc w podobne kółka kształcące! Nie przedstawia to prawie żadnych trudności. Wszak większą część czasu marnuje się na bezcelowych przyjemnostkach; — czyżby nie lepiej było poświęcić choć parę godzin w tygodniu na kształcenie się, na rozszerzanie swej inteligencyi i wiedzy? Czyż nie lepiej to przez ten czas zapoznać się z zaletami i wadami społeczeństwa, aby wiedzieć czego mu jeszcze nie dostaje i w jakim kierunku należy potem rozwinąć działalność? — Materyały do podobnego kształcenia się mogą nam dostarczyć rozmaite wydawnictwa

dotyczące zagadnień społecznych i naukowych, w większych zaś miastach biblioteki lub wypożyczalnie książek. Wreszcie pogadanki wspólne i dysputy w najżywotniejszych kwestyach, do których treści można zaczerpnąć z dość obfitej już literatury naszej. — Oto mój program co do tych kółek, któreby mogły znacznie podnieść poziom naszej inteligencyi.

Rzucam więc tę myśl między młodzież, w nadziei, że znajdą się — przynajmniej jednostki, które zrozumią swoją doniosłość i znaczenie w społeczeństwie i przyjmą podaną im rękę do wspólnej pracy. A zatem „zestrzelmy myśli w jedno ognisko!“ a wyrazem naszych wspólnych dążeń, łącznikiem prac naszych niech będzie „Promień“. Składajmy więc swe myśli, swe ideały w to wspólne ognisko, skądby się już — nie promieniem, ale całą smugą rozchodziło światło na resztę młodzieży: — Wtedy będziemy mogli stawić opór tym, którzy chcą w nas widzieć wzorowych — biurokratów, wtedy nie będę nas więcej wstydem paliły słowa rozdartej Ojczyzny:

Czynu! czynu naród czeka!

Lwów. *M. Z.*

Jeszcze w sprawie strejku realistów lwowskich.

W numerze 7—8 „Promienia“ w artykule p. t. „Echa strejku w szkole realnej“ spostrzegłem kilka przesadzonych i fałszywych wiadomości o następstwach tego strejku studenckiego. Wiedząc zaś, że w programie „Promienia“ dążenie do prawdy i sprawiedliwości na pierwszem stoi miejscu, postanowiłem sprostować to mylne doniesienie, rzucające na stosunki szkoły realnej tak ponure światło.

Bezpośredniem następstwem strejku było wykluczenie przez Radę szkolną ucznia G., choć w ogólnem mniemaniu niewinnego i ukaranie dwóch innych uczniów 16 godzinnym karcerem, połączonym z groźbą wydalenia ze szkoły przy najbliższem przewinieniu. Groźba ta spełniła się w jakiś czas na jednym z tychże uczniów, który, jak powiada wyrok szkolny, wydalony został za czytanie książki w kościele.

Wiadomość o zniżeniu o jeden stopień z obyczajów jest prawdziwą i rozciąga się na całą klasę, z wyjątkiem dwu obostrzeń. Co się zaś tyczy winy wydalonego G., to, jak wspomniałem, nawet w „wyższych sferach szkolnych“ było ogólne przeświadczenie, że ta mniemana wina była tylko lekkomyślnem podejrzeniem. Jedynie więc dla zachowania zachwianej „powagi“ szkolnej ukarano klasę w wyżej wspomniany sposób.

Nakoniec zwrócę uwagę na to, że co do „dalszych naszych losów“ autor grubo przesadził, bo ze strony profesorów nie było wcale ostrego i bezwzględnego, z widoczną tendencyą pytania.

Jeden z uczniów lwowskiej szkoły realnej.

Od Redakcyi.

W poprzednim numerze zamieściliśmy artykuł p. n. „List do Redakcyi“, w którym autorka po szczegółowem uzasadnieniu podnosi projekt rozszerzenia zakresu działalności „Promienia“ także na młodzież żeńską.

W odpowiedzi na powyższy artykuł zaznaczamy przedewszystkiem, że się na ten projekt w zupełności zgadzamy. Brak pisma, któreby zajmowało się sprawami młodzieży żeńskiej i potrzeba łączności i wspólnego porozumienia między studentami i studentkami są wystarczającymi argumentami. Dlatego pomijając dalsze wyjaśnienia, dodamy od siebie parę uwag. Od początku wydawnictwa staraliśmy się o to, aby pozyskać dla naszego pisma nietylko uczniów szkół średnich, ale i gimnazyastki i starszą młodzież żeńską.

Wśród prenumeratorów naszych znajdowało się nawet kilka gimnazyastek, te jednak ograniczyły się na przesłaniu prenumeraty, po za tem zaś nie okazywały bliższego zainteresowania się. W obec tego otrzymując materyały głównie ze sfer młodzieży męskiej, zajmowaliśmy się głównie jej sprawami, mimoto jednak układ pisma naszego był zawsze taki, że i dla młodzieży żeńskiej znalazło się wszędzie coś interesującego i każdej chwili łamy pisma naszego stały dla niej otworem. Teraz więc po otrzymaniu tego artykułu zwracamy się do naszych koleżanek

z prośbą i wezwaniem, by odtąd uważały pismo nasze także za swój organ a współpracownictwem swojem i korespondencyami ułatwiły nam działalność w tym kierunku.

Dla naszych dotychczasowych czytelników dodajemy wyjaśnienie, że zmiana, jaka zajdzie w „Promieniu“, nie spowoduje wcale zwężenia naszego programu, bo „Promień“ i nadal będzie się zajmował żywo ich sprawami, ale — zależnie od poparcia i sprzyjających warunków stanie się organem całej młodzieży.

Nauki przyrodnicze
w galicyjskich szkołach średnich.

Wychodząc z dzisiejszego gimnazyum czujemy najdotkliwsze braki w kierunku nauk przyrodniczych. Najprostsze rzeczy z mineralogii, botaniki, zoologii są nam nieznane, lub niezrozumiałe, albo — wyleciały nam z pamięci. Jeżeliśmy mieli to nieszczęście pochodzić z miast i byliśmy skazani na ciągły w nich pobyt, to z pewnością nie będziemy w stanie odróżnić gipsu od krzemienia, alabastru od marmuru, lub wapna od wapnia. W ogrodzie nie odróżnimy lipy od gruszy, a akacyi od kasztana, w polu i na roli nie odróżnimy jęczmienia od owsa, żyta od pszenicy i z pewnością nie poznalibyśmy po barometrze, czy będzie pogoda lub deszcz, gdyby nam tego wskazówka na tarczy nie okazywała. Z najprostszymi przyrządami fizykalnymi nie potrafilibyśmy się obejść, a wiadomości nasze z chemii są tak szczupłe, że mając do czynienia z fosforem wzięlibyśmy go ze słoika gołą ręką i poparzylibyśmy sobie palce z powodu łatwej zapalności tego ciała.

Przyczyny tych fatalnych braków, które dają się nam tak często uczuć w praktyce, są bardzo jasne i wynikają głównie z obowiązującego systemu szkolnego. W gimnazyach nauki przyrodnicze obejmują 2 stopnie, jeden w klasach niższych, drugi w klasach wyższych. Tygodniowo przeznaczono na naukę fizyki wraz z chemią 3 godziny, na naukę historyi naturalnej 2 godziny. W obec olbrzymiej ilości godzin (5—8), poświęconej językom starożytnym, jest czas, zajęty przez nauki przyrodnicze bardzo krótki. Ale i przy tak małym czasie, pozostającym do dyspozycyi nauczycieli, nauka mogłaby osiągnąć należyte rezultaty. Potrzebaby do tego dwóch rzeczy t. j. podręczników i należycie zaopatrzonych i wyposażonych gabinetów fizykalnych lub przyrodniczych.

Tych dwóch rzeczy brak właśnie nietylko w gimnazyach, ale i szkołach realnych. W tych ostatnich zakładach, gdzie nauki przyrodnicze powinnyby stanowić punkt ciężkości, mimo znacznie większej ilości godzin w programie, wykłady historyi naturalnej, fizyki i chemii nie przynoszą lepszych rezultatów, niż w gimnazyach. Podręczniki są przeważnie tak liche, że mogą ucznia do nauki tylko zniechęcić, to też profesorowie w większej części podręczników zupełnie się nie trzymają, ale wykładają w sposób zupełnie odmienny. Jako typowy przykład wymienię podręcznik do botaniki przez Dra Rostafińskiego, który można cały na pamięć umieć, a o botanice nie mieć najmniejszego pojęcia.

Przechodzę teraz do omówienia naszych gabinetów do historyi naturalnej i fizyki. Co roku przy wpisie składa się 1 złr. jako „datek na zbiory naukowe“, więc np. przy 500 uczniach utworzy to rocznie sumę 500 złr.; jeżeli więc przyjmiemy, że zakład jakiś istnieje lat 25, (jak jest przeważnie w Galicyi), w przeciągu tego czasu uzbieranoby kwotę 12500 złr. z samych składek uczniów. Pieniądze te, rozdzielone na kilka przedmiotów, tj. w gimnazyum na historyę i geografię, historyę naturalną i fizykę, w szkole realnej zaś jeszcze i na chemię, dadzą kwotę około 3000 złr., za które w każdym razie jaki taki gabinet da się utworzyć. Przy małej zatem subwencyi rządowej możnaby potworzyć wcale przyzwoite gabinety z dość znaczną ilością przyrządów. Jednak tej subwencyi przeważnie brak. Nauczyciele dotyczący dokładają wszelkich starań, aby gabinet jak najlepiej wyposażyć, ale brak im funduszów. Wogóle musimy tu zauważyć, że profesorowie nauk przyrodniczych jaskrawo odbijają od reszty nauczycieli. Pracując z zamiłowaniem w swoim przedmiocie, zwracają główną uwagę na stronę praktyczną i żądają od uczniów przedewszystkiem zrozumienia nauki i nie zadowalają się teoryą, pytają na przyrządach, wymagają od ucznia przedewszystkiem dokładnego obznajomienia się z będącymi do dy-

spozycyi okazami; profesorowie ci, wspomnimy tu nawiasem, postępują też z młodzieżą daleko sprawiedliwiej, niż ich koledzy, wykładający inne przedmioty. Zdarzają się oczywiście wyjątki, — w ostatnich czasach dość często, — które trzymając się ściśle programu szkolnego i wskazówek Rady szkolnej uczą na podstawie podręczników, bez pomocy odnośnego gabinetu. I tak np. w gimnazyum Fr. Józefa we Lwowie jest wprawdzie gabinet fizyki, — nawet dość bogaty, lecz wedle słów jego zawiadowcy, prawie wszystko w nim popsute; tu uczeń coś zepsuł, tam niesumienny fabrykant zawinił itd. a powód ten, że profesor nie chce wprost z gabinetu korzystać. W szkole realnej w Krakowie profesor historyi naturalnej nie otwiera nigdy podwoi swego gabinetu dla uczniów. zachowuje wszystko zdala z przed ich oczu. Jest jedna rzecz, którą by należało wznowić w naszych szkołach średnich, tj. wspólne wycieczki nauczycieli historyi naturalnej z uczniami w celu zbierania roślin. Odbywały się one do niedawna w gimnazyach szczególnie prowincyonalnych i dawały oprócz bardzo doniosłej korzyści praktycznej, tę jeszcze korzyść moralną, że uczniowie zaznajamiali się bliżej z nauczycielem i że z tego mógł się wytworzyć bliższy, bardziej przyjacielski i nieurzędowy stosunek wzajemny. Od kilku jednak lat o wycieczkach takich zupełnie nie słychać. Odnośnie zaś do nauki fizyki i chemii musimy powiedzieć, że tu nie wystarczą nawet gabinety, ale *potrzeba wprost laboratoryów, gdzieby uczniowie sami doświadczalnie pracowali.* Ale o tem nawet mówić u nas nie można; w gimnazyum na naukę chemii całej przeznaczono miesiąc, w szkole realnej brak nawet porządnych gabinetów chemicznych. Słyszeliśmy wprawdzie, że przy stanisławowskiej szkole realnej istnieje laboratoryum chemiczne, ale znanym nam jest również fakt, że Rada szkolna nie zgodziła się na utworzenie takiego laboratoryum w szkole realnej lwowskiej, mimo propozycyi profesora.

Nie potrzebujemy dowodzić, jak potrzebną jest chemia nietylko technikom, ale medykom, widząc więc takie lekceważenie tego przedmiotu ze strony naczelnych władz szkolnych, musimy chyba powiedzieć, że jest ono celowe.

Wszystkie te warunki, które wyżej wymieniłem, składają się razem na wytworzenie tej strasznej naszej niewiadomości w dziedzinie nauk przyrodniczych. Mimo dobrej woli profesorów rezultat nauki w tym kierunku jest ujemny. Gdy weźmiemy prostego chłopa i zbadamy stan jego wiadomości z historyi naturalnej i fizyki, powstaną nam włosy na głowie, na widok naszego nieuctwa i braku wiedzy. Ten chłop, żyjący od dzieciństwa w naturze i z naturą, znający doskonale jej objawy, dla którego najgłębsze tajniki natury są otwarte i jasne, dla którego przyroda nie jest tylko martwą księgą mądrości, ale także żywą skarbnicą uczuć estetycznych i moralnych, jest dla niego najlepszą może przyjaciółką — i inteligentny student, z patentem dojrzałości w ręku, czerpiący całą swą wiedzę z książek, znający wszystko, ale bez praktyki, na papierze, głoszący szumne hasła, ale w teoryi, znający uczucia, ale na podstawie książek, stroniący od niezrozumiałej mu matki — natury, dla którego wedle słów jednego z profesorów — studya humanistyczne są ideałem młodości, oto obraz tego upadku, w jakim pogrążyła naszą młodzież dzisiejsza szkoła.

Na zakończenie zestawimy jeszcze głosy dwóch profesorów, obu historyków, ilustrujące dosadnie tę walkę, która toczy się od lat kilku w naszem społeczeństwie, walkę o reformę szkół średnich, prowadzoną przez zwolenników kierunku matematycznego i przyrodniczego przeciw obrońcom szkoły, opartej na filologii klasycznej i tzw. humanizmie.

I tak czytamy w sprawozdaniu *lwowskiej szkoły realnej* za r. 1896 w pracy prof. Michała *Lityńskiego*:

„O niesłychanym wzroście, ponownym rozkwicie i jakby odrodzeniu studyów filologii klasycznej skutkiem nowoczesnych wykopalisk nie potrzebuję powtarzać bo dziś to już wie każdy, *kto tylko odebrał wychowanie humanistyczne, a później w życiu zachował przynajmniej mały zakątek w sercu dla ideałów młodości. Ale chcę tu wspomnieć o tych, co brnąc sami w bezdusznym materyalizmie chcieliby także młodemu pokoleniu obciąć skrzydła duchowe, przytłumić pragnienia idealniejsze i niby je uczynić szczęśliwszem przez skierowanie wszystkich jego dążeń ku złotemu cielcowi dobrobytu i użycia.* Mojem zdaniem, próżne to zapędy i syzyfowa praca. Humaniści zawsze mieli nieprzyjaciół i zawsze ich w końcu zwyciężali. Scholastycy, pseudokla-

sycy, *romantycy minęli się*, a humanizm zawsze żyje, odradza się i potężnieje. Walka ta wiecznie trwać będzie, jak wiecznym jest bój światła z ciemnością, Ormuzda z Arimanem. *Wiecznie świat dzielić się będzie na barbarzyńców i Hellenów!*"

W odpowiedzi na te wywody zamieszczamy słowa prof. Mieczysława *Warmskiego*. („Myśli o reformie szkół" „Słowo Polskie" z 30 czerwca 1898. Nr. 154).

„Organizacya naszych gimnazyów opiera się na zasadzie, że kształcące jest tylko to, co zostało napisane, i to im dawniej napisane, tem bardziej kształcące. W najszerszem uogólnieniu dojdziemy do wyniku, że w naszych nowożytnych systemach szkolnych, stara książka jest jedynem źródłem wykształcenia, a nawet w naukach realnych, mimo wszelkich gabinetów i demonstracyj książka gra przeważną rolę. Ten bałbochwalczy kult książek w naszych szkołach wyrządza społeczeństwu nieobliczone szkody. Od 7-go roku życia zaprzęgamy dziecko do książki i każemy mu, z każdym rokiem co raz intenzywniej w niej szukać mądrości. Dzięki temu systemowi wychowanek nasz ślepnie i głuchnie powoli na wszystko, co się w koło niego dzieje, konstruuje sobie świat według książek, całkiem odmienny od rzeczywistego." „Toż prawie cała masa t. zw. inteligencya składa się z takich ślepych i głuchych, którzyby nie wiedzieli, że słońce świeci, gdyby to w książce nie było napisane, lub gdyby tego nie spostrzegli byli jeszcze *przed czasem szkolnym, gdy jeszcze zmysłów swoich używali*. Odpowiednio do tego wyrobiła się opinia publiczna; *człowiek inteligentny chętnie się przyzna, że nie widział nigdy nieba gwiaździstego, albo nie wie, z czego się chleb składa, ale za żadną cenę nie dopuściłby, żeby go posądzono, że nie czytał Homera, choćby ze stopniem dostatecznym, boby mu odmówiono ogólnego wykształcenia.*" „Trudno też zrozumieć, dlaczego właśnie to wykształcenie nazywamy humanistycznem, które zakrywa przed człowiekiem trzy czwarte piękności tego świata, zabiera mu te przymioty często, które mu sam Pan Bóg dał do poznania i życia na świecie, a prowadzi go do zatracenia prawie godności ludzkiej." „*A społeczeństwo całe powoli rozpada się na 2 grupy, które się wcale rozumieć nie mogą, na kilkadziesiąt tysięcy takich, którzy żyją w książkach, a nie znają świata i miliony tych, którzy żyją w świecie jak umieją i mogą, ale książek nie znają. I ta przepaść między niemi z każdym rokiem się pogłębia i rozszerza, porozumienie staje się wprost niemożliwe, z wielką szkodą obu stron i społeczeństwa jako całości.* Druga zaś szkoda pochodzi stąd, że ci ludzie idą potem do służby publicznej, jako szata i kwiat narodu, a rząd zapełnia nimi kadry swych władz administracyjnych. Tutaj mają oni trzymać ręce na pulsie tętniącego w społeczeństwie życia, mają rozumieć potrzeby ludności a oni tego życia nie rozumieją. Oni by je rozumieli, gdyby to było napisane w jakiej książce, ale niestety to będzie napisane dopiero za lat 50, kiedy ich już nie będzie, a ich następcy znowu tak samo błądzić będą nad zagadkami, które im nowe życie przyniesie. A trzeba pamiętać, że na tych stanowiskach urzędowych, do których ich powołują, mają wielki wpływ na liczne i bardzo żywotne sprawy ekonomiczne i społeczne, że nie ma prawie sprawy w powiecie, na którejby urzędnik administracyjny nie miał wpływu, lub nie brał w niej udziału. Jest on wszędzie, nietylko przy wyborach, ale także przy zakładaniu fabryk, melioracyach, budowie kolei, regulacyi rzek, epidemii, tępieniu myszy polnych i Bóg wie ile innych. A on, jak do tego wszystkiego przygotowany? *Bardzo dobrze*; *on wszystko potrafi — wyjmie kodeks, przeczyta paragraf* (*nic nie szkodzi, choć czasem niestósowny*), *napisze referat i myśli, że już od samego referatu wszystkie myszy pozdechały i ze spokojnem sumieniem idzie prosto do kasyna, bo jest w tej dobrej wierze, że wszystko uczynił, co należało — a myszy gospodarują dalej.* Dlatego to w Austryi wszystko tak idzie, że referaty się sypią, a myszy na wszystkich polach gospodarują dalej, dlatego nigdzie nie ma zgodności między pismem a rzeczywistością.

„Szczególny to idealizm, do którego my tę młodzież prowadzimy: idealizm ten nazywa się bezbronnością w walce o życie, nieporadnością, ślamazarnością, nieumiejętnością, próżniactwem i t. d. Jeżeli taki idealizm będzie naszym ideałem nadal, to za 100 lat nas nie będzie, a zajmą miejsce inni, mający dodatniejsze ideały!"

Fragment.

Niewielka lampa stojąca rzuca słabe smugi światła na twarze siedzących koło stołu, resztę pokoju w cieniu zostawiając.

— Wzięli faceta całkiem niespodzianie — opowiada jeden, chudy blondyn o nerwowo drgających ustach i sterczących kościach policzkowych, — zrobili rewizyę, znaleźli rękopisy... Brzydka sprawa... Zaraz, panie, śledztwo, „naoczne stawki“, awantury... I ja byłem na „stawce“ — ani drgnął jak mię zobaczył. Nie wiem, czy tak „się trzymał“ czy może nie poznał naprawdę, — wyglądał, jak nieprzytomny. Wmówili mu, że „wsypał“ wszystkich. Facet młody, niedoświadczony — uwierzył. Można sobie wyobrazić, co się z nim działo, — nerwowy był zawsze, — jak wszedł dozorca do jego celi, i jeszcze mu czegoś urągał, — tak ten rzucił się z pięściami... Wsadzili go zaraz do „ciemnej“.

Odpowiadający urwał na chwilę.

No, — ciągnął dalej, — facet pierwszy raz siedzi, zaraz w „ciemnej“, z takiemi myślami... Jak go po trzech dniach wyprowadzili, tak już był do niczego... zwarjował...“

— Zwarjował — odezwał się, niby echo, cichy szept z kąta pokoju.

Siedział tam młody, szesnastoletni może chłopiec, któremu twarz w mroku ginęła, a tylko oczy, wielkie, ciemno-szafirowe, oczy dziecka-marzyciela, gorzały dziwnym blaskiem, wpijając się upornie w twarz opowiadającego.

„Nie było z nim co robić — kończył blondyn. Potrzymali trochę i wywieźli do Tworek“.

Chwilkę panowało milczenie.

— No, a z Władkiem — jak to było? — zapytał krępy barczysty młodzieniec, mocno ogorzały, jakby wprost ze wsi przybyły.

— Z Władkiem — to była gruba awantura — mówił znów blondyn. — Wzięli go jeszcze w Styczniu, — a że teraz w „cytli“ robi się postęp — zamiast drewnianych podłóg są już asfaltowe, więc zimno djabelne. Władek prosi, żeby mu napalili — ci obiecują, że od poniedziałku już zaczną palić. To była środa. Facet do poniedziałku zdążył się przeziębić, a jak od poniedziałku zaczęło się pomalutku rozgrzewać, tak rozchorował się na dobre. Dostał zapalenia płuc, i kiedy po miesiącu przewieźli go do szpitała, to mu już nie wiele brakowało — w trzy dni skończył...

— Urządziliście manifestacyę — po chwili wtrąca wieśniak.

— Wspaniałą. Facetów zebrało się ze dwa tysiące — samych naszych, no i hołotka przyszła. Dwudziestu z nas wyrzucili potem całkiem, a trzech dotąd siedzi...

Rozmowa toczy się dalej. Wspominają o innych, co „wyszli“ chorzy, albo wcale nie wyszli... Wkrótce przeszli na tor wspomnień osobistych. Prawie każdy z nich już „siedział“, raz albo parę razy, prawie każdy miał jakieś przygody, niekiedy widać zabawne, bo od czasu do czasu przy opowiadaniu śmiano się.

— Przyczepił się do mnie, jak pijawka, — opowiada mały, mizerny o suchotniczym wyglądzie szatynek, wymachując żywo rękami, — drab ogromny, widać go było o pół wiorsty. Przez trzy tygodnie byłem, jak w klatce. Wreszcie wypadło posiedzenie, — wiecie — mówił do blondyna — to Centralnego Kółka. Być trzeba koniecznie. Idę. On jest. Ja na prawo — on na prawo , ja na lewo — on na lewo, ja w dom przechodni — on już czeka z drugiej strony. Ani rusz. Ostatnia pasja mnie wzięła, — przeleciałem do niego na drugę stronę, — i jak mu nie huknę: „Ty-y szpi-clu!“ Szpicel zdębiał — i w nogi.

Wybuchnął śmiech.

Chłopak, siedzący w kącie podniósł się z miejsca, i cicho wyszedł do sąsiedniego pokoju. Tam było pusto i ciemno. Zamknął drzwi za sobą i nerwowo zaczął chodzić po pokoju. Coś w głębi duszy dręczyło go i bolało strasznie. Nie po raz pierwszy może słyszał te rzeczy, ale po raz pierwszy je odczuł. Wydawały mu się jak ułamki drobne, które w wyobraźni jego łączyły się, zlewały w ogrom jakiś, nużący go szarością swoją, tłoczący ciężarem. Swawolna dotąd myśl dziecka, skacząca z lekka po drobiazgach życia, otarła się naraz o ogrom bolu społecznego... nieustającej ciężkiej krwawej krzywdy rzesz milionowych, — i stanęła niema, bezradna.

Usiadł na jakimś stołku i, utkwiwszy oczy w jeden punkt nieruchomo, myślał z natężeniem. Starał się skupić rozprószone wrażenia, usunąć czy uśpić bodaj na chwilę ten dojmujący cichy ból, co nie dawał mu myśli zebrać swobodnie. Ale myśl rwała się ciągle. W tej chwili był jakby organicznie zespolony

z cierpiącymi i ból ich czuł, jak własny. Jak to jest jednak dziwnie — okropnie dziwnie. Ludzie naokoło duszą się, waryują i giną — tak marnie, smutno giną... ogromne, barczyste draby skradają się chyłkiem za małymi mizernymi ludźmi, nie dając im odetchnąć swobodnie... wszystkie piersi są stłoczone, wszystkie głowy pochylone, wszędzie ucisk, obłuda, nędza.

I naraz zrobiło mu się smutno, tak ogromnie smutno, że czuł wyraźnie, jak fale rozrzewnienia, podnosząc się w nim skądciś z głębi, idą coraz wyżej, zdławiają wreszcie gardło i łzy wyciskają z powiek. I byłby płakał... ale nowy powiew myśli w mgnieniu oka wysusza łzy, zbiegające się już w kątach oczu, — i brwi na czole podnoszą mu się z wyrazem wielkiego bezdennego zdumienia.

— Co to jest? I jak to może być, żeby tysiące, miljony ludzi były gnębione, deptane i poniewierane przez miljony innych. Przecież to wszystko ludzie... ludzie, — więc poco to wszystko? I jak to się dzieje, że te miljony gnębionych znoszą w milczeniu takie poniżenie, taki ból, takie trupie życie? Przecież to jest potworne, więc dlaczego? więc jak to? Myśli łamały mu się w mózgu, pytania rozsadzały czaszkę. Czuł jednocześnie, że fale rozrzewnienia wyschły w nim do ostatniej kropli, ustępując miejsca przypływowi siły jakiejś dziwnej i zapału, co rozbierał i potężniał coraz bardziej, wytryskując mu na twarz rumieńcem, rozsadzając piersi pragnieniem czynu, wielkiego, potężnego czynu. Bezwiednie zaciskał pięści i chodził szybko po pokoju.

Za ściana śmiano się znowu.

Ten śmiech sprawiał mu ból niemal fizyczny. Przecież to jest wszystko takie smutne... I oni wszak sami są smutni, napewno są smutni, choć twarze mają pogodne, i ton ich rozmowy wesoly. — Ale on chwytał ten cień smutku w krótkich przerwach rozmowy, kiedy czoła się marszczyły, a kąty ust opadały ze znużeniem, słyszał w dźwięku głosów, które czasem, chwilami drżały tak dziwnie., jak gdyby sama dusza mówiła, — a czasem nabierały brzmień takich mocnych i twardych, jak szczęk stali albo żelaza... I przecież nad ich głowami zawisło niebezpieczeństwo, jak miecz Damoklesa, przecież ich w każdej chwili spotkać może mniej więcej to samo, co spotkało tamtych...

A oni się śmieją.

Naraz przeszło mu przez głowę, że gdy ludzie krzywdzeni żalą się i płaczą, — to są może wzruszający, lecz gdy śmieją się — są straszni. Przystanął nagle i oddech zaparł, jakby zatrzymać pragnął w sobie tę myśl, co mu mignęła w mózgu, jak błyskawica. Straszni? — a więc ludzie deptani i prześladowani mogą być strasznymi? ofiary mogą się stać mścicielami?

Usiadł znowu i znowu przed siebie patrzał nieruchomo. Nie raziły go już odgłosy wesołości w sąsiednim pokoju, nie słyszał ich prawie. Myślał — potem marzył... Oparł łokcie na kolanach i obu dłońmi oczy zasłonił, jakby się obawiał, żeby wzrok zmysłowy nie odkradł mu choć w części tych widzeń przecudnych, jakie snuć się zaczęły przed oczyma duszy jego rozkołysanej.

...Wielka rozległa równina, siwa piaskami szaremi, umajona trawami, szeleszcząca zbożem gdzieniegdzie. Pomykają katy umundurowane i draby poprzebierene w lokajskie spencery, pomykają chyłkiem aż tam het ku północy, gdzie bieleje pas śniegów, przetykanych smutnemi sosnami, i sterczy długi rząd wyciągniętych bagnetów.

A na równinie gromadzą się ludzie. Naprzód wychodzą ci z lochów, mali, nędzni, pokurczeni, wybladli. I wyprostowują się im karki, rozszerzają piersi, podnoszą dumnie głowy. Potem idą z fabryk huczących i z pod cichych strzech słomianych zakopceni i siermiężni ludzie o żylastych ramionach i prostych dobrych wejrzeniach. Zbierają się setki, tysiące, dziesiątki tysięcy. Idą. I on idzie z nimi. Wszystkie piersi jednym rytmicznie poruszają się oddechem, wszystkie czoła jednym blaskiem płoną, wszystkich jeden duch prowadzi. I naraz z szeregów pieśń wionęła ogromna, — i jako ptak lotny, przerzynając w biegu świetliste powietrze, uderzyła skrzydłami o strop nieba jasny, błękitny.

Cudowna pieśń... pieśń męczenników o tryumfie, mordowanych o zmartwychpowstaniu.

Ziemia cała oddecha swododnie, poruszając rytmicznie łanami zbóż, kłoszących się bujnie, a gromadki drzew, spotykanych po drodze, czy to garstki brzóz srebrnych, czyli wianki ciemnych olch nadrzecznych, wierzchołkami kłaniają się kornie szybko mijającym szeregom.

A pieśń leci jak wicher, wzbierając życiem, tryskając wiarą, tętniąc mocą — bo to pieśn jest ludu, — to jest pieśń zwycięstwa.

A tłumy idą coraz szybciej... wiedzą wszyscy, że idą prosto w tę łunę krwawą, co zbliża się coraz bardziej — i zbliża się też rząd sterczących bagnetów... ale też czują wszyscy, że w takt tej pieśni wielkiej, i dla tej ziemi ukochanej, i w tej jasności dniowej iść tak gotowi bez wytchnienia — przez góry i doliny, przez jary i przepaście, — aż na kraj tej ziemi — na bój krwawy — ostatni... *Alf.*

Kronika.

Zwracamy uwagę na zmianę adresu Redakcyi.

W sprawie nowo otwartej szkoły handlowej we Lwowie. Z dniem 1 października b. r. otwartą zostanie we Lwowie wyższa szkoła handlowa. Dla Galicyi jest ona bardzo ważnym nabytkiem tembardziej, że czesne wynosi tylko *20 zlr.* rocznie. Szkoła ta znajduje się jednak niestety pod naczelnem kierownictwem Rady szkolnej krajowej i dzięki temu wkradły się do jej statutu rzeczy, które w statucie jedynej polskiej szkoły tego rodzaju znaleźć się nie powinny. I tak dla t. zw. obcokrajowców ustanowiono czesne 5 razy wyższe, w kwocie 100 złr. taksę wstępną 10 zlr. (dla krajowców 2 zlr.) Nie ma wątpliwości, kogo rozumie statut przez „obcokrajowców.“ Są to Polacy z za kordonów, bo z pewnością studenci innej narodowości, mając swoje szkoły, do lwowskiej szkoły handlowej uczęszczać nie będą. Chodzi więc o to, aby — niby w interesie galicyjskiego handlu — zamknąć dostęp do szkoły braciom naszym z za kordonów. Nie ulega także wątpliwości, czyim wymysłem jest ten paragraf. Z pewnością zaprowadzony on został na wniosek c. k. galicyjskiej Rady szkolnej krajowej, bo cóżby ministerstwu wiedeńskiemu zależało na utrudnianiu wstępu zakordonowcom. A choćby nawet zarządzenie podobne znajdowało się w statutach innych austryackich szkół handlowych, to obowiązkiem było kraju, przyczyniającego się do utrzymania szkoły tak znaczną subwencyą (10.000 złr. rocznie), a więc i Rady szkolnej krajowej, mającej reprezentować życzenia kraju, sprzeciwić się takiemu rozporządzeniu. Starano się wprawdzie osłodzić ten fatalny paragraf w ten sposób, że pozwolono Radzie szkolnej zmniejszyć czesne dla poszczególnych obcokrajowców lub zupełnie ich uwolnić, ale znając sposób myślenia kierowników Rady, którzy bardzo wybitnie odróżniają „Galicyan“ od „Królewiaków“, i widzą w tych ostatnich „niespokojne i niebezpieczne duchy“, nie łudzimy się wcale, że z tych ułatwień nie będzie ona korzystała.

Stosunki szkolne w Warszawie. Według danych urzędowych Warszawa posiada 678 zakładów naukowych, podwładnych ministrowi oświaty, a w nich 31.129 uczniów i 10.863 uczennic. Na utrzymanie tych zakładów wyasygnowano w r. 1898 ogółem 1.553.084 rb, Uniwersytet warszawski liczył 1176 studentów, instytut weterynaryjny 101 studentów, wszystkie średnie zakłady naukowe 7503 uczniów (w tej liczbie 3132 płci żeńskiej). Cyfry te wyglądają bardzo pokaźnie, jeżeli jednak weźmiemy je w stosunku do ludności Warszawy, wynoszącej już dziś przeszło 600.000 mieszkańców, to staną się one bardza nieznaczne. Sama liczba uczniów szkół średnich (męskich) 4371 jest bardzo niską w porównaniu z liczbą studentów gimnazyalnych i realnych we Lwowie, liczącym tylko 150.000 mieszkańców (przeszło 3000), liczba zaś słuchaczy uniwersytetu jest niższą od liczby akademików lwowskich. Gimnazyów męskich jest zaledwie 7, tak że panuje w nich ogromne przepełnienie, a w tym roku zdarzył się nawet jeden wypadek, że uczeń z Warszawy musiał z powodu przepełnienia udać się do gimnazyum aż nad morze Azowskie. Ciekawe to ilustracye do panujących w Królestwie stosunków! Jakże komicznie wyglądają w obec nich okólniki ministra oświaty o urządzeniu systematycznych kursów popularnych, o reformie szkół, o zakładaniu nowych zakładów fachowych!

Na wystawę paryską przygotowuje rosyjskie ministerstwo oświaty zbiorową wycieczkę uczniów szkół gimnazyalnych. Co prawda, myśl taka, podjęta przez władze rosyjskie robi wrażenie, co najmniej śmieszne. Te same władze, które dla stłumienia w młodzieży wszelkiej ochoty do buntu — wymyśliły możliwie najgorszy system wychowania publicznego i w ten sposób zabiły w niej i znieprawiły wszelkie uczucia szlachetniejsze, władze te wspaniałomyślnie dają sposobność młodzieży zobaczenia wspaniałego dorobku kulturalnego — jednego z najwięcej cywilizowanych narodów. Rząd rosyjski

urządza od czasu do czasu taki manewr taktyczny dla zamydlenia oczów naiwnej Europie. Nie trzeba się też łudzić, jakie korzyści odniesie młodzież ze zwiedzenia wystawy — którą będzie oglądać pod wodzą carskich pedagogów. Podobno francuskie ministerstwo oświaty czyni przygotowania dla należytego przyjęcia tej wycieczki, która ma być rozmieszczoną w paryskich gmachach naukowych. Z drugiej strony musimy dodać, że myśl taką mogłyby przeprowadzić nierównie pomyślniej władze szkolne w Galicyi, którym rozwój naszej młodzieży leży na sercu, powinny więc zająć się sprawą, która w skutkach swych może zdziałać wiele dobrego.

Wycieczka taka nie potrzebywałaby się ograniczać na młodzieży szkół średnich, ale mogłaby także objąć szersze koła młodzieży akademickiej. Wiadomo nam np., że młodzież politechniczna czyni na seryo kroki dla przyprowadzenia do skutku takiej wycieczki.

Otwarcie szkoły kadeckiej we Lwowie. Tej jesieni otwartą została we Lwowie szkoła kadecka. Jest to już drugi taki zakład w kraju (pierwszy założono w Łobzowie). Widać, że w Galicyi „produkcya" kadetów wzmaga się silnie, kiedy już jeden zakład nie wystarcza. Wszak oprócz tego znaczna liczba galicyjskich uczniów kształci się w Koszycach, zyskujemy zatem coraz więcej wojowników-oficerów. Na oko przedstawia się to naszym rodzicom bardzo ładnie. Na wakacye wraca synek z szabelką przy boku w ładnym mundurku wojskowym, zdrów i silny. Ale korzyści te okupuje on poważnemi stratami moralnemi. Już w kilka miesięcy po wyjeździe z domu pisze do rodziców listy, mieszając słowa niemieckie wśród polskich, lub ruskich, a po kilku latach na dobre zapomina swoj ojczystej mowy. Jeszcze gorzej oddziaływa szkoła kadecka pod względem uczuciowym. Wychowankowie jej opuszczają zakład, przejęci duchem i kulturą niemiecką z pogardą dla swojego narodu, powiększając szeregi i tak już licznych w naszem społeczeństwie pasożytów. Z tych względów otwarcie nowej szkoły uważać należy za objaw w każdym razie ujemny, tem bardziej, gdy zważymy, że i gmina miasta Lwowa w budżecie nowego zakładu udział przyjęła. Smutny objaw! Rodzice, oddając swoje dzieci, powinniby się dobrze zastanowić nad przyszłością swoich synów, których częstokroć marnują na całe życie.

Z lwowskiej szkoły realnej. Krążące już od kilku lat wieści o utworzeniu filii w lwowskiej szkole realnej znalazły wreszcie swoje urzeczywistnienie. Otwarto już filię przy ul. Szeptyckich i pomieszczono tam niższe klasy. Kierownikiem filii został prof. L i t y ń s k i. Wypadek ten nie wpłynął jednak zbyt silnie na dotychczasowe obostrzenie w przyjmowaniu uczniów, gdyż i teraz zanotować musimy fakt, rażący swą niesprawiedliwością. Uczeń pewien chciał zdawać egzamin z gimnazyum do jednej z niższych klas, w tym więc celu wniósł podanie do Rady szkolnej z prośbą o pozwolenie zdawania. Gdy jednak po otrzymaniu przychylnej odpowiedzi zgłosił się do dyr. Gerstmana, ten odmówił mu przyjęcia motywując to złym stopniem, otrzymanym przez ucznia w gimnazyum. Po długich ceremoniach, po wstawieniu się ojca ucznia do inspektora, który także robił wielkie trudności, pozwolono wreszcie uczniowi zdawać egzamin, ale aż za pół roku. W ten sposób zraża się u nas młodzież do nauki, w ten sposób uczeń, który po długiem przygotowaniu przychodzi do egzaminu i nie otrzymuje pozwolenia zdawania, już wcześnie uczy się oceniać dobre chęci i życzliwość przełożonej władzy szkolnej.

Nauka chemii w gimnazyum VI-tem we Lwowie. W jednym z artykułów ninicjszego numeru wykazujemy trudne warunki, w jakich profesorowie zmuszeni są wykładać nauki przyrodnicze. Wobec tego wszelkie wypadki, w których nauczyciel mimo tak ogromnych trudności potrafi stanąć na wysokości zadania swego przedmiotu, z uznaniem podnieść musimy. Do takich właśnie nauczycieli należy profesor szóstego gimnazyum, p. W a s i l k o w s k i, który w wykładach chemii mimo bardzo szczupłego czasu, przeznaczonego na ten przedmiot, mimo krępujących go przepisów programu szkolnego i braku odpowiednio zaopatrzonego gabinetu, zapoznaje uczniów swoich w sposób bardzo wyczerpujący z tą tak ważną nauką, posługując się przy tem ciągle metodą doświadczalno-indukcyjną.

Teatr krakowski. Już prawie miesiąc mija od objęcia dyrekcyi teatru miejskiego przez p. Kotarbińskiego, a dotąd nie ujrzeliśmy na scenie jeszcze ani jednego przedstawienia dla młodzieży. To, co się „praktykuje" na wszystkich scenach europejskich, nie weszło u nas jeszcze „w modę". W Niemczech, Anglii, Szwajcaryi i we Francyi (nawet we Lwowie Red.) w każdem mieście, gdzie tylko teatr istnieje, urządzane są dla młodzieży przedstawienia (po

cenach zniżonych) wszystkich dzieł klasycznych, u nas nie postarano się jeszcze o to. P. Kotarbiński mógłby to bez pobudek od „sfer wpływowych“, zrobić dla cywilizacyi.

Dyrektor Sołtysik został przeniesiony z gimnazyum w Podgórzu do gimnazyum III w Krakowie.

Winszujemy uczniom gimnazyum III, dostali bowiem na dyrektora człowieka uczciwego, sprawiedliwego i ujmującego się o krzywdy uczniów. Zakończy on tam wreszcie gospodarkę prof. Dziurzyńskiego, który przez 2 lata zastępując dyrektora, dobrze się wszystkim uczniom dał we znaki. (Wiadomość z Krakowa).

Zakład Jezuitów w Chyrowie. Prywatne gimnazyum Jezuitów w Chyrowie, mające prawo publiczności w Austryi, cieszy się znaczną frekwencyą, która — przykro nam wyznać — ciągle wzrasta. Uczniowie tego zakładu dzielą się na 2 kategorye: tych, których z powodu urwiszostwa nigdzie, nawet często w szkołach wojskowych, przyjąć nie chciano i tych, których rodzice dbają ze względu na troskliwą i rodzicielską opiekę w zakładzie. Zaznaczyć musimy, że jedni i drudzy są synami zamożnych rodziców, gdyż koszta utrzymania w zakładzie są bardzo znaczne (przeszło 600 zlr rocznie). I jedni i drudzy wychodzą na tem fatalnie. Pierwsi opuszczają zakład bardzo uspokojeni, „pacati“, jak się wyrażali Rzymianie, ale z naturą do gruntu zepsutą i przewrotną, zatrutą jadem hipokryzyi i obłudy — wychodzą wedle słów pewnego lekarza, mając moralnie połamane kości. Drudzy wypuszczeni z pod tej „prawdziwie rodzicielskiej opieki“ są stokroć bardziej zepsuci, niż gdyby pozostawali na wolnej stopie i obracali się wśród najgorszych ludzi. I jedni i drudzy stają się w społeczeństwie nie już pijawkami, ssącemi jego krew, ale wprost bakteryami, zakażającemi zdrowy organizm i powodującemi śmierć. Trzeba także wiedzieć, że i wykształcenie, jakie otrzymują, jest prawie żadne. Uczniowie którzy przechodzą z Chyrowa do gimnazyum zwykłego są najgorszymi uczniami w klasie.

A przecież znajduje się jeszcze dość rodziców, którzy mimoto oddają swe dzieci na tę oczywistą zatratę. Z bolem ogromnym notujemy fakt, że czwartą część uczniów chyrowskich stanowią Królewiacy! Czas już najwyższy, by w społeczeństwie zrozumiano szkody, zadane nam przez Jezuitów i przestano raz wreszcie wierzyć w ich patryotyzm i dobrą wolę. „Lepiej posłać syna, by tłukł kamienie na drodze, niż oddać go w ręce Jezuitów“ oto słowa jednego z wychowanków tego zakładu!

Zakład cieszy się naturalnie sympatyą władz szkolnych, a nawet Akademia Umiejętności w Krakowie ofiarowuje mu darmo wszystkie swoje wydawnictwa.

Nowe wojsko polskie we Lwowie. W swoim czasie pisaliśmy o usiłowaniach utworzenia we Lwowie t. zw. wojska szkolnego, którego celem miało być odbywanie ćwiczeń wojskowych między innemi po to, aby w razie śmierci któregoś z kolegów módz wziąć gremialnie i w porządku udział w jego pogrzebie.

Organizacya ta mająca tak szczytne cele, nie przyszła jednak do skutku i po krótkich próbach upadła. Obecnie donoszą nam, że hufce te mają na nowo odżyć a to właśnie z powodu zapowiedzianej wycieczki wojska polskiego z Krakowa do Lwowa, chodzi więc o to, aby przybywającym pułkownikom i oficerom przedstawić równie dobrze w pułkowników i oficerów wyposażoną armię. W tej sprawie odbyło się nawet w tych dniach posiedzenie u ks. Gnatowskiego, b. jenerała tych niedoszłych bractw pogrzebowych. Rezultaty posiedzenia są nam niewiadome, jesteśmy jednak pewni, że organizacya długo się nie utrzyma i że nadchodzące deszcze i słoty będą najlepsym środkiem na odstraszenie młodzieży szkolnej od wzięcia w niej udziału.

Biblioteka zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie otwartą jest codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt rz. kat. tylko od godziny 9-ej do 2-giej. Wobec tego uczniowie szkół średnich prawie zupełnie korzystać z niej nie mogą, gdyż w zwykły dzień zajęci są przeważnie do godziny pierwszej, w niedzielę i święta rz. kat. biblioteka jest zamknięta pozostają więc święta gr. kat. Zwracamy się więc do Zarządu biblioteki z uprzejmą prośbą, czy by też nie było możliwem zmienić godziny otwarcia biblioteki w ten sposób, by i uczniowie szkół średnich korzystać z niej mogli. Sądzimy, że otwarcie biblioteki na 2 lub 3 godziny po południu nie będzie połączonem z większemi trudnościami, a dla uczniów naszych, pozbawionych możności korzystania z innej większej, powszechnie dostępnej btblioteki, stanie się rzeczą niezmiernie ważną i pożyteczną.

Przyjaciel oświaty. W gimnazyum stanisławowskiem zdarzył się tego roku przed wa-

kacyami, podczas egzaminu wstępnego do pierwszej klasy następujący wypadek: Niejakiego Sałygę, wieśniaka z Wiktorowa pod Haliczem, czekającego na swego synka, który zdawał egzamin wstępny, spotkał na korytarza prof. Władysław Latoszyński i zapytał go, co robi w gimnazyum. A gdy otrzymał odpowiedź, udzielił wieśniakowi takiej rady: „Tak, tak, wasz syn zdaje tu egzamin, ale lepiejby było, gdybyście go wy zatrzymali w domu, żeby pasł bydło i pomagał wam w gospodarstwie, gdyż do szkoły i tak pcha się dużo chłopców, to po co jeszcze waszego syna?“ Czy nie dobra rada? Tylko ja poradziłbym prof. Latoszyńskiemu, by on takiej rady udzielił tym panom, którzy za wszelką cenę chcą przepchać swych „inteligentnych“ synków przez gimnazyum, chociaż ci nie mają najmniejszych zdolności i chętnie używają wpływów przemożnej pani protekcyi, na której prośby prof. Latoszyński jest bardzo czuły. Tak, tak, panie profesorze! Taka rada dobra dla głupich pańskich dzieci, a nie dla zdolnych chłopskich. Jeszcze jedno: Prof. Latoszyński, skończył też teologię, to pewnie musi wiedzieć, czy takie rady zgodne są z nauką Chrystusa!

Były uczeń stanisławowskiego gimnazyum.

Skutki palenia tytoniu! Zwyczaj palenia tytoniu jest tak rorpowszechnionym nałogiem, iż śmiało można powiedzieć, że połowa ludzi na świecie używa tego narkotyku. Co do wpływu tytoniu na organizm ludzki, to zdania są podzielone. Być może, że nauka i tutaj z czasem dojdzie do pewnych rezultatów za pomocą gorliwej, systematycznej obserwacyi; dzisiaj jednak najpierwsze powagi wydają pod tym względem sprzeczne opinie. Jedno tylko jest rzeczą dowiedzioną, a mianowicie, że palenie tytoniu dla młodych, mających nierozwinięte płuca jest szkodliwe, a nawet wprost zabójcze. Ciekawe szczegóły np., oparte na praktyce lekarskiej, podaje dr. Decaisne. Badania jego obejmują 38 chłopców w wieku od 9—14 lat, są więc oparte na szerszej podstawie.

W 27 wypadkach skutki palenia były bardzo zawikłanej natury; nastąpiło bicie serca, nieprawidłowe krążenie krwi i trawienie, stępienie umysłu, a u większości badanych pociąg ku napojom wyskokowym. Analiza krwi okazała u 8 osobników zmiejszenie się ilości ciałek czerwonych, 12 chłopców miało bardzo często krwotoki nosowe, dziesięciu nieprawidłowy sen, czterem pootwierały się jątrzące rany, jeden nabawił się suchot. Objawy były silniejsze u młodszych, mniej groźne u dobrze odżywiających się. Z tych, którzy porzucili palenie, wyzdrowiało po sześciu miesiącach siedmnastu — reszta dopiero po roku.

Powyższe doświadczenia powinny być rozumną przestrogą dla zbyt młodych, a nie odznaczających się silną budową płuc palaczy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Znicz. Wiersz nie nadaje się do „Promienia“.

Ilderim. Wiersz nie nadaje się do druku.

Siwy. Nie możemy umieścić.

Skołuba. Z powodu zamknięcia numeru artykuł odkładamy. Prosimy o podanie nazwiska.

W sprawie prenumeraty.

Prosimy o wyrównanie zaległej prenumeraty. Kto nie zapłaci prenumeraty za ubiegły kwartał, numeru następnego nie otrzyma.

Do czytelników!

Spotykają nas zarzuty, że pismo nasze ma charakter zbyt lokalny i w podawaniu wiadomości ogranicza się przeważnie do Lwowa. Zarzutom tym musimy w części przyznać słuszność, ale równocześnie zaznaczamy, że nie jest to naszą winą. Od czytelników naszych otrzymujemy bardzo mało wiadomości, tak że musimy je czerpać głównie z dzienników. Usunięcie tej wady zależy tylko od kolegów samych, w obec tego raz jeszcze prosimy o korespondencye i wiadomości z całej Polski.

Wydawca: **Władysław Wolski.** Odpow. redaktor: **Aleksander Wieleżyński.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.